NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

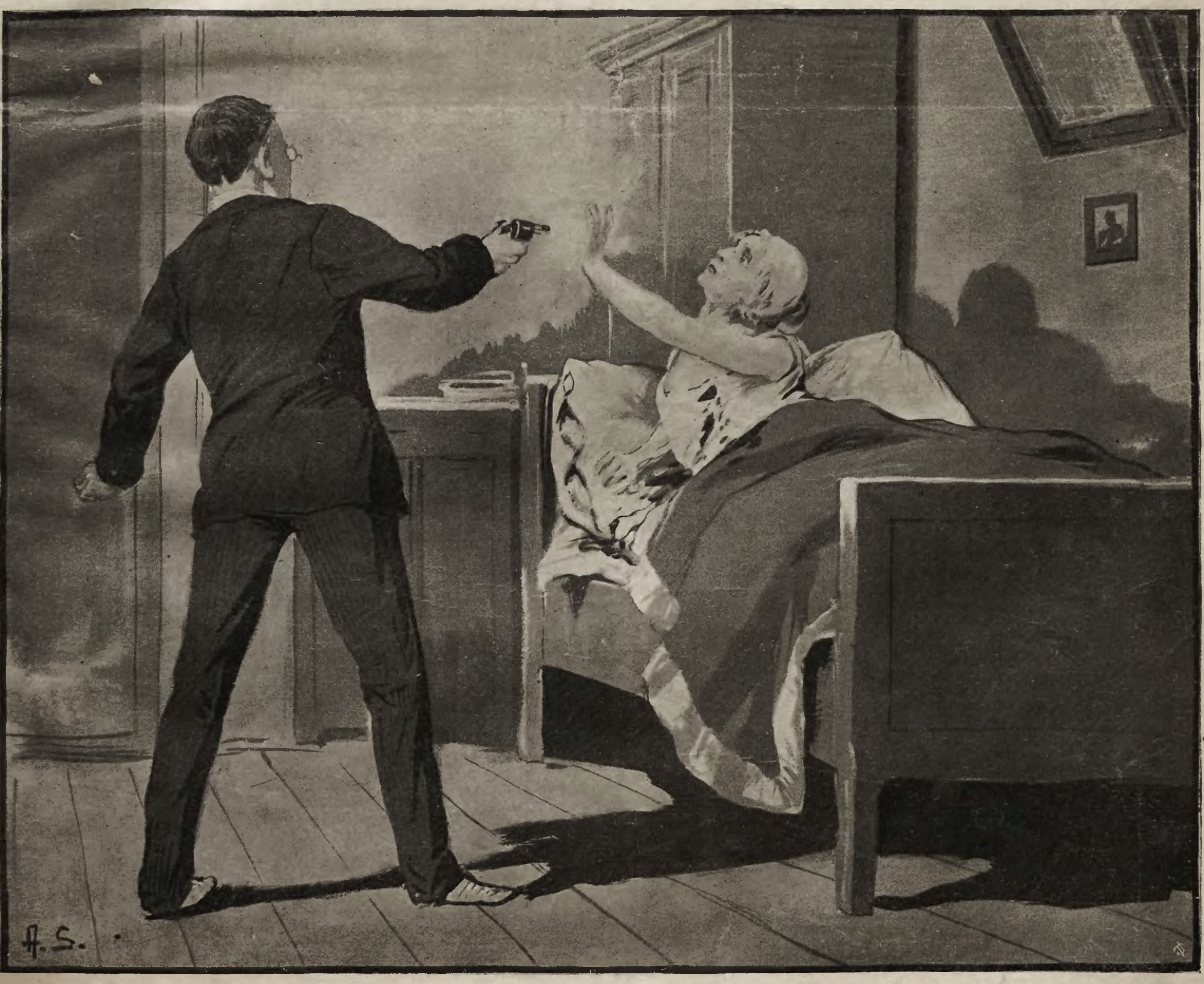
Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 17 czerwca 1905 r. Nr. 25.

KRWAWA TRAGEDYA RODZINNA.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Krwawa tragedya rodzinna.

(Do illustracyi tytułowej).

Wiek nasz, wiek postępu i wiedzy, genialnych wynalazków, wiek pełen znaczenia dla dziejów ludzkości – przyniósł jednak ze sobą wiele złego, z których najgorszem może zdegenerowanie fizyczne ogólne i skłonność do chorób umysłowych.

Co na to wpływa, łatwo odgadnąć: gorączkowe życie, przeciążenie pracą i dziedziczne obciążenie. Co jednak smutniejsza, że nerwowość, napady szału i wszystkie inne straszne psychopatyczne objawy – prześladują zarówno młodzież jak i dorosłych! Mania samobójcza szerzy się w zatrważający sposób między młodymi ludźmi. Nie ma tygodnia, byśmy nie słyszeli lub nie czytali o samobójstwach studentów i studentek, niezadowolonych z życia z powodu złej cenzury lub zawiedzionej miłości.

Z ręki małoletnich szalonych przestępców padają „niesprawiedliwi profesorzy" lub „niegodne ich uczuć kochanki". Pierwszy jednak fakt do zanotowania mamy – fakt matkobójstwa i samobójstwa, którego widownią była pewna kamieniczka przy ul. Długiej w Krakowie. Pod nr. 32 przy rzeczonej ulicy w małym domku mieszkała od wielu lat uboga wdowa, Eleonora Buszyńska wraz z jedynakiem swym Maryanem, który uczęszczał na IV rok wydziału filozoficznego w Krakowie.

Maryan był bardzo porządnym młodzieńcem i wzorowym synem. Najlepszym zaś tego dowodem, że z otrzymywanego stypendyum i lekcyi utrzymywał siebie i matkę staruszkę. Krytycznego dnia wrócił młody akademik około 11 godziny w nocy jak utrzymuje stróżka domu, w zupełnie normalnym stanie i udał się do mieszkania. W niedługi czas usłyszano kolejno po sobie następujące trzy strzały, na które na razie nie zwrócono baczniejszej uwagi, przypuszczając, że zapewne ktoś strzela na ulicy. Równocześnie niemal usłyszał jeden z sąsiadów silny szum wody spuszczanej z wodociągu do kranu.

Rano o godzinie 6 zauważyła służąca z pierwszego piętra obfite ślady krwi na podłodze koło mieszkania Buszyńskich. Powiadomieni o tem mieszkańcy kamienicy wtargnęli do mieszkania. Gdy weszli do kuchenki, spostrzegli na podłodze trupa Buszyńskiej. Leżała ona w koszuli obok łóżka, brocząc silnie krwią. Na szyi i na prawej skroni widniały rany postrzałowe.

W izbie drugiej w środku pokoju, był trup Maryana Buszyńskiego, z raną na prawej skroni. Głowa nurzała się w kałuży krwi, w prawej ręce tkwił rewolwer.

Przybyła na miejsce sądowo-lekarska komisya, zarządziła odstawienie zwłok do zakładu medycyny sądowej.

Wstrząsający ten wypadek komentowano najrozmaiciej. Mówiono, że matka nie chciała Buszyńskiemu pozwolić na ożenienie się, to znowu o zawiedzionej miłości Buszyńskiego, ostatecznie jednak zdawało się że prawdziwą przyczynę tej tragedyi kryje na wieki tajemnica obojga zmarłych. Tymczasem już na drugi dzień przyczyna podwójnej tej zbrodni została wykryta.



Teatr poznański w Krakowie: P. Edmund Rygier, dyrektor teatru poznańskiego.

Mianowicie denat, Maryan Buszyński pobierał stypendyum 1000 koron, aże właśnie wakowało stypendyum jeszcze wyższe, Buszyński, będąc uczniem bardzo zdolnym, podał się o nie. Przy przedłożeniu podania o to wyższe stypendyum, wyszło jednak na jaw, że podpisy kilku profesorów na świadectwach z tak zwanych „colloquiów" są sfałszowane, gdyż denat tych właśnie egzaminów przed tymi profesorami nie zdawał. Sprawą tą zajął się na razie senat akademicki, a Buszyńskiemu groziło nietylko utracenie już pobieranego stypendyum, nie tylko wydalenie ze wszystkich uniwersytetów, ale i odpowiedzialność karna za fałszerstwo dokumentów. Buszyński, którego zresztą niewiadomo jaki powód skłonił do opuszczenia się w naukach, gdy spostrzegł, że fałszerstwo jego wyszło na jaw, że egzystencya jego jest na zawsze złamana, a hańba na uczciwem dotąd nazwisku nieunikniona, uciekł się do myśli o samobójstwie, postanowiwszy jednak przedtem matkę, którąby bez niego sama w nędzy została, także życia pozbawić i istotnie straszny ten czyn wykonał.

Buszyński przed śmiercią napisał list do dziekana wydziału filozoficznego prof. Sternbacha z prośbą, by senat uniwersytecki o hańbie jego nie rozgłaszał, do czego się senat istotnie zastosował.

Padajemy na pierwszej stronicy numeru rycinę, przedstawiającą straszliwą chwilę, kiedy Buszyński strzela do śpiącej w łóżku matki.

Teatr poznański w Krakowie.

Scena krakowska — jedna z najpierwszych upadła w ostatnich czasach niżej poziomu, wymaganego nawet od prowincyonalnych, wędrownych teatrzyków. Odnosi się to zwłaszcza do ostatniej nieszczęśliwej imprezy pp. Kotarbińskich. Anarchia w dziale administracyjnym, nieudolność kierownictwa artystycznego zdziałała w krótkim czasie to, że publiczność poczęła stronić od teatru, a szanujący się autorzy powstrzymali się zupełnie od wystawiania sztuk swych na scenie teatru miejskiego. Dodajny do tego, że najwybitniejsze siły wyko-



Teatr poznański w Krakowie: Grupa artystów z dyrektorem p. Rygierem w środku. Fot. Jabłoński. Kraków.

nawcze naszej sceny opuściły niewdzięczny teren pracy, a wyrobimy sobie jasne wyobrażenie o stanie teatru krakowskiego w ostatnich latach. Stan ten istotnie przedstawiał się w samych „minusach“, samych brakach: brak należytego kierownictwa artystycznego i administracyi, brak autorów i aktorów, i co za sobą pociąga: brak uczęszczającej do teatru publiczności.

To też, gdy pod koniec fatalnego sezonu udało się dyrektorowi poznańskiego teatru p. Edmundowi Rygierowi uzyskać szereg przedstawień dla swej trupy — powitał Kraków przyjazd jego niezmiernem zainteresowaniem i żywą sympatyą. Bo też i Rygier w całej pełni na to zasługuje. Jeden z pierwszorzędnych aktorów w Polsce, chluba i ozdoba ojczystej sceny, człowiek nieposzlakowanej uczciwości i zacności — jest Rygier wzorem artysty i dyrektora. P. Edmund Rygier pochodzi z Warszawy, a karyerę artystyczną rozpoczął bardzo wcześnie, bo już w r. 1874, t. zn., że 31 lat minęło artystycznej jego pracy. Studya dramatyczne odbywał u takich mistrzów żywego słowa, jakim był ś. p. Królikowski i Chęciński. Następnie rozpoczął artystyczną wędrówkę po prowincyi będąc jednym z najwybitniejszych aktorów w towarzystwie cenionego niegdyś Anastazego Trapszy w Królestwie Polskiem. Od r. 1879—81 pozostawał Edmund Rygier na scenie krakowskiej za dyrekcyi Rychtera i Koźmiana. Krótki czas bawił we Lwowie pod dyrekcyą słynnego Jana Dobrzańskiego. Od 1883 r. pozostawał już stale na scenie krakowskiej za dyrekcyi Koźmiana, a następnie Gliksona i wreście Pawlikowskiego, a to aż do r. 1886. W tym roku objął dyrekcyę teatru poznańskiego, którym ku chlubie sztuki polskiej i pożytkowi społeczeństwa do dziś dnia kieruje.

Indywidualność Rygiera jego talent i warunki, wskazują od pierwszego rzutu oka w jakim zakresie ról pracuje. Role bohaterskie, to główne, a świetne pole popisu niepospolitego tego talentu. Dość wymienić cały cykl ról szekspirowskich, których Rygier jest znakomitym przedstawicielem, rolę Wojewody w „Mazepie“, Horsztyńskiego, Derwida, Andreasa w Teodorze, Wallensteina, Laryka i w. i.

Rygier zawitał wraz z swojem towarzystwem na cztery przedstawienia do Krakowa, następnie odwiedzi N. Sącz, letni zaś sezon spędzi w Krynicy, by potem wrócić na zimę — jak zwykle — do Poznania. Rygier jest po za tem wszystkiem znakomitym reżyserem i informatorem, a z jego szkoły wyszło już wiele dzielnych sił aktorskich. Świadczy zresztą już o tem samem i skład dobranego jego towarzystwa. Spotykamy tu nazwiska takie jak p. Królikowska, która 30 lat z górą pracuje na scenie, Podgórska, Maryewska, Gawlikowska. Z mężczyzn: Czerniak, najstarszy aktor w Poznańskiem, Szczurkiewicz, wyborny aktor charakterystyczny, Turski, charakterystyczny komik, Prohaska, młody a wysoce uzdolniony amant i rezoner, i inni.

W numerze niniejszym podajemy — jako uzupełnienie artykułu: portret zasłużonego dyrektora sceny poznańskiej Edmunda Rygiera, oraz grupę artystów jego teatru.

Żywa pochodnia.

Nieostrożność w obchodzeniu się z ogniem i materyałami łatwopalnemi była przyczyną niezliczonej ilości nieszczęść i katastrof. Setki już ludzi pociągnęła drogą najokrutniejszych męczarń — do grobu. Niepodobieństwem poprostu byłoby wyliczenie pożarów teatrów, fabryk, hoteli etc., w których ogień powstał z winy lub nieostrożności ludzkiej. Pomimo doświadczenia, wypadki takie wciąż się mnożą, a straszna ta statystyka powiększoną została w ostatnich dniach znowu o jeden fakt — znowu jedno życie robotnika padło ofiarą!

Na Zniesieniu we Lwowie jest fabryka przetworów chemicznych, będąca własnością Towarzystwa akc. dla przemysłu chemicznego. W nocy, gdy fabryka była w ruchu, rozległa się nagle potężna detonacya w hali motorów. Hukiem tym zaalarmowani zbiegli się wszyscy ludzie z sąsiedztwa. Straszny, nie do opisania widok przedstawił się ich oczom! Ujrzeli oni przez okno fabryki robotnika biegającego ze strasznym rykiem wśród płomieni, przyczem sam podobnym był do słupa ognistego, bo cały był oblany benzyną. Po chwili upadł na ziemię. Niepodobieństwem było przyjść mu z pomocą, bo płyn palący się pryskał na wszystkie strony, a sufit wklęsnął i groził lada chwila zawaleniem. W 15 minut później przybyła straż pożarna ze Zniesienia, która natychmiast opanowała palący się już dach. Dopiero gdy sufit pierwszego piętra runął na parter, wyciągnięto hakami nieszczęśliwego robotnika. Całe ciało było zupełnie zwęglone i w wielkich kawałach odpadało od kości.

Przypuszczają ogólnie, że Fleischner tak się nazywał nieszczęśliwy wyrobnik w podchmielonym stanie wypuścił benzynę z rezerwoaru, która parując, zapaliła się od lampy i eksplodowała.

Główną jednak winę w tem, że katastrofa przybrała tak wielkie rozmiary i pochłonęła jedno życie ludzkie — ponosi, jak zazwyczaj — zarząd fabryki. Niesłychanym jest fakt, że w magazynach materyałów wybuchowych było mnóstwo drewnianych oszalowań i przybudówek. Materyały łatwo zapalne i wysuszone drzewo — ten łakomy łup dla strasznego żywiołu, był w wielkiej części przyczyną nieszczęścia.

Rycina nasza przedstawia chwilę odgrzebywania szkieletu Fleischnera.

Straszna śmierć w przystępie szału.

Nieszczęśliwe wypadki chodzą zwykle seryami. Nigdy nie zdarza się prawie, aby jakaś „senzacya“ nie pociągła za sobą drugiej, trzeciej, a nawet więcej. W Krakowie np. w ubiegłym tygodniu mieliśmy trzy senzacye: krwawą tragedyę na ulicy Długiej, tj. morderstwo i samobójstwo Buszyńskiego, śmierć przez powieszenie w więzieniu krakowskiem, i straszną śmierć w przystępie szału, śmierć przez rzucenie się z drugiego piętra na ziemię.

Przy ulicy Topolowej pod l. 40 w Krakowie mieszkała od dłuższego czasu starsza kobieta, 66-cioletnia Teresa Różyczkowa. Lokatorka ta była względnie spokojna, po pewnym jednak czasie zauważyli u niej sąsiedzi pewne objawy zdenerwowania, które wzrastały z dniem każdym tak, że ostatecznie wszyscy byli przekonani, iż Różyczkowa jest obłąkana.

Wieczorem dnia 8 bm. mieszkańcy tej kamienicy zaalarmowani zostali jakimś głuchym hukiem, poprzedzonym pełnym bólu czy rozpaczy jękiem. Wybiegli więc z mieszkań, a zobaczywszy, że mieszkanie Różyczkowej otwarte, a jej niema w pokoju, odrazu domyślili się nieszczęścia. Spojrzeli w dół — i na bruku parterowym zobaczyli rozciągnięte zwłoki kobiety, która widocznie rzuciła się z drugiego piętra, gdzie się znajdowało jej mieszkanie, na kamienną posadzkę parteru i znalazła śmierć na miejscu. Wypryśnięty z czaszki mózg był dowodem, że nieszczęśliwa spadła na głowę. Kobietą tą była Teresa Różyczkowa. Widocznie w napadzie szału, podniecona rzuciła się z drugiego piętra, gdzie znalazła śmierć, która była dla niej wybawieniem.

Na ilustracyi naszej widzimy godną grozy scenę, kiedy mieszkańcy znajdują w sieni obok schodów trupa Różyczkowej.

Strzelanie do dzieci w Łodzi.

Posiepaki carskie, przerażone bombami, które prawie co tydzień pozbawiają życia wybitniejszych czynowników, wpadli w ostatnich czasach w paniczny strach i jak ludzie, którzy coraz bardziej tracą grunt pod nogami, stracili zupełnie głowę i sami na oślep dążą w przepaść, gdzie ich czeka nieuchronna zguba. W tem bezhołowiu, w tem strachu o własne życie popełniają bardzo często czyny takie, którychby może nie popełnili w innych czasach, kiedy Rosya jeszcze opierała się na czynownictwie jak na kamieniu węgielnym, którego nic zgnieść nie zdoła. ale czyny krwawe, nieraz wprost bestyalskie, graniczące z tyranią i barbarzyństwem. Przytoczymy tu jeden z takich czynów.

Przed kilku dniami po nabożeństwie w kościele w Łodzi, kiedy tłumy ludu już się rozeszły, kozacy, którzy zajęli ulice, położone najbliżej kościoła, aby w razie „nieporządku“ przywrócić ład i spokój, usłyszeli naraz na pobliskim placu krzyki i śpiewy. Przekonani, że na tym placu zeszli się właśnie ludzie, którzy przed chwilą śpiewali w kościele niemiłe dla uszu rosyjskich pieśni „Boże coś Polskę“ i że zamierzają urządzić demonstracyę antirządową, pędem pobiegli ku temu placowi i dali ognia. Ozwały się głosy przerażenia, krzyki, piski — kozacy dali drugą salwę. Za małą chwilę nastała cisza, plac opustoszał. Tu i owdzie widać było tylko ciała jakichś malców, leżące bez znaku życia, bez ruchu.

Cóż się stało?

Oto kozacy, na rozkaz dzikiego stupajki dali ognia do gromady bawiących się na placu dzieci i zabili kilkanaście z nich. Powodem najazdu dziczy carskiej na ów nieszczęsny plac było to, że dzieci, bawiąc się wesoło, jak dzieci, nie rozumiejące jeszcze niczego i nie umiejące nic więcej, prócz bawić się, zaczęły hałasować. Ten dziecinny hałas barbarzyńskiem żołdakom wydawał się demonstracyą. I zaległy plac trupy młodych istot, które ani rządowi, ani tym posiepakom rządowym jeszcze nie mogły się narazić, jeszcze nie mogły ściągnąć na siebie ich gniewu czy nienawiści.

Fakt ten, przerażający swą grozą, fakt mordowania na ulicy dzieci bezbronnych, wywołać musi wszędzie dreszcz oburzenia i nienawiści przeciw rosyjskiem barbarzyńcom, którzy dopuszczają się rzeczy, niegodnych XX. wieku i jego kultury.

Ilustracya nasza przedstawia tę pełną grozy chwilę, kiedy żołdacy carscy strzelają do dzieci.



Strzelanie do dzieci w Łodzi: Siepacze carscy strzelają do bawiących się dzieci.



BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

3 (Ciąg dalszy).

Nie tak postępowała owa Polska, o którą kolega szermuje, w czasie swej potęgi i sławy. Otwarła ona wrota na rozcież, wrota wolności i braterstwa dla wszystkich sąsiadów, była to wprawdzie tylko szlachecka wolność, ale na inną jej nie stało. I jak sto lat niewoli zdemoralizowało jej dzieci? Dziś pojmują i głoszą tylko swoje ja, swój pełny brzuch, swoje łóżko, swe wygody...

Odetchnął, a w sali oświetlonej promieniami zachodzącego słońca, panowała głucha cisza; zdawało się, że wraz z jego słowami spłynął tu na chwilę duch braterstwa i unii.

— Wznieśmy się koledzy na chwilę wyżej po nad deptak codziennego życia i jego interesów... Wyżej koledzy!... Wyżej!... aż tam, gdzie nie dojrzymy już ani rysów różniących rasy i narody, ani dosłyszymy dźwięków rozgraniczających i spójrzcie na ziemię. Oto u samego dna mrowie ludzkie, miliony milionów, w pocie czoła, brocząc krwią i łzami, pracują, gromadząc nieprzebrane skarby... ale całe złoto wydzierają im wampiry ludzkie, rzucając milionom ochłapy, a przywłaszczywszy sobie lwią część złota pracowników, oddają resztę wyżej stojącym, aż do tronu królewskiego i tym złotem opłacają militaryzm, który ciasnemi splotami trzyma w strachu i posłuszeństwie, w męce i rozpaczy, miliony wytwórców złota.

Wśród zgromadzonych wszczął się cichy szmer, a ktoś zawołał:

— To socyalizm!

— Tak... to socyalizm — mówił spokojnie — czyż koledzy sądzicie, że u nas są inne warunki, aniżeli na świecie? Byłoby to samowiednem łudzeniem siebie. I u nas miliony pracują, a garstka używa... i bliższym mi jest umęczony i wydziedziczony robotnik cudzoziemiec, aniżeli plantator polski. Nie obcinajmy naszych ideałów, nie zacieśniajmy się w dusznej skorupie, ale niech nam przyświeca słońce wolności i szczęścia dla wszystkich, przez wszystkich; to nasz cel, to nasza droga.

Wstrzymał się na chwilę, tu i ówdzie odezwały się głośne oklaski, ale większość milczała.

Przewodniczący spojrzał po zebraniu i rzekł suchym, urzędowym tonem:

— Kolega Żalecki odstępuje od przedmiotu... idzie o „Kółko slawistów“...

— Występując przeciw wyłączności egoistycznej kolegi Cypryańskiego — mówił spokojnie Żalecki — tem samem sprzeciwiam się jego wnioskowi odrzucenia propozycyi „Kółka“, a jego argumenta wydają mi się co najmniej dziwne...

— Proszę o głos! — przerwał Cypryański.

— Ja mam... ja już pierwej się zgłosiłem — zawołał niespokojny Waldman.

Przewodniczący skinął ręką na znak potwierdzenia, a mówca prawił:

— Rzucił się na slawizm, a przecież ideałem każdego człowieka jest braterstwo narodów! Skrytykował naukę pokrewnych narodów, a sam wali pioruny na dążność moskiewskiego rządu wyrugowania z państwa innych języków. Wreszcie kłuje go, że wejdą do nas: Niemcy, Ormianie, Rusini i Żydzi. Przeciwnie, pragnę i żądam, aby weszli, nasza kultura jest tak silną, iż nie obawiam się, dla niej wpływów postronnych, a im więcej mamy przyjaciół, tem będziemy silniejsi, ale nie w tym celu, by odbudować Polskę szlachecką, lecz Polskę wolną, równą, silną społecznie i kulturalnie. I takiej Polski nikt nie wywalczy, tylko żywiołowy ruch milionów robotników, gniecionych dziś przez carów, królów, burżuazyę. Znikną wówczas różnice narodowościowe, wyrównają się przepaście, usuną się góry, wszyscy będziemy braćmi.

Znów rozległy się nieliczne, chociaż gorące oklaski, ale większość milczała, a zbyt przeciągły oklask Olgi zwrócił na nią uwagę bliższych i dalszych sąsiadów. Oklaski Olgi były niemal odruchowem wspomnieniem stolicy, gdzie w gronie młodych słuchała płomiennych słów o wydziedziczonych, o naprawie tysiącletnich krzywd, o powszechnem braterstwie wolnych i szczęśliwych. I tu z ust Żaleckiego padły te słowa i tu znalazła pokrewne dusze. Tam jej stosunki z młodymi były reakcyą przeciw formalizmowi i uciskowi ojca i towarzystwa jego, ale teraz poczuła się wolną, panią swych myśli i czynów i ta swoboda upajała ją na razie, rwała się do niej jej dusza i ona cała.

— Kończę, stawiając wniosek o przyjęcie „Kółka“ nie ze względów pieniężnych — spojrzał drwiąco na prawicę — ale dla idei, dla przyszłości.

Jeszcze nie zdążył siąść, gdy już się zerwał ze swego krzesła Waldman. Na jego bladą, pociągłą twarz z rysami semickiemi, okoloną czarną kędzierzawą brodą, wystąpiły plamy ceglaste, a wymachując rękami, mówił:

— Ja krótko powiem kolegom kilka tylko słów — zwilżył języczkiem zapiekłe kąty ust — dziś cały świat cywilizowany zna jedno hasło, wojuje o jedno tylko: precz z kapitalizmem! Nasz ideał jest taki, że potrzeba uświadomić robotnika, niech on poczuje swą siłę, niech on zatrzęsie zgniłym gmachem kapitalizmu i niech ta budowa więzienna runie.

Odetchnął, by z głośnym bulkotem przełknąć gorącą ślinę a ktoś zawołał żartobliwie:

— To będzie drugi Samson!

— Tak jest, koledzy, robotnik będzie Samsonem i on pogrzebie w gruzach tych, którzy nie pójdą z nim razem. Już kolega Żalecki powiedział, że nasz ideał jest wielki, jest wspaniały, i ja do tego ideału chcę was pociągnąć. Dla mnie wszystko jedno, czy robotnik jest żydem, czy chrześcianinem. ja chcę mu pomódz.

— Lichwą!

— Wyzyskiem! — odezwały się głosy.

— Proszę kolegów nie przerywać mówcy — upomniał przewodniczący.

— Czy myślicie koledzy — uśmiechnął się drwiąco i palcami rozczesał czarną kędzierzawą brodę — że to delikatnie bezcześcić mój naród?! Ja żyd, ja nie wstydzę się tego, ale ja socyalista i chcę dla wszystkich wolności i chleba!

— Do rzeczy, kolego! Do rzeczy! — zawołał przewodniczący.

— Zaraz... muszę jeszcze powiedzieć słów parę koledze Cypryańskiemu...

— Nie wiem nic o koleżeństwie — rzekł twardym głosem Cypryański.

— A więc panu Cypryańskiemu, kiedy on się wypiera koleżeństwa uniwersyteckiego. Pan ten drwił z żydów, a żydzi taki dobry naród, a nawet dawniejszy, aniżeli polski. Ale czy ja się tem chwalę. czy żądam wyłączności, czy powiadam, żydowska ziemia dla żydów...

— A gdzie ona? — zaśmiał się ktoś.

— Ja nic z tego nie mówię — udał, że nie słyszał pytania, chociaż oczy zapałały gniewem — ja chcę być bratem, chcę pomódz wszystkim cierpiącym, wszystkim pracującym do wyzwolenia się z kapitalizmu. Ja nie chcę tej Polski, gdzie szlachcic bije chłopa, gdzie fabrykant wyzyskuje robotnika, ja chcę Polski braterskiej, dla wszystkich jedne prawa, dla wszystkich jedna wolność, ale takiej Polski nie będzie nigdy, tak jak nie będzie żadnych państw i Polska rozpłynie się w ludzkości.

W różnych kątach sali rozległy się drwiące śmiechy, a przewodniczący:

— Wniosek kolego! Wniosek!

— Zaraz... Panu Cypryańskiemu wolno było gadać, wolno i mnie... Dla mnie wszystko jedno, czy mnie dusi fabrykant polski, czy niemiecki, ja ich jednakowo nienawidzę.

— A żydowskich? — spytał ktoś.

— I żydowskich także... i dlatego ja nie chcę niepodległości Polski.

— Odebrać mu głos! — zawołano z różnych stron. — Milczeć! Wara od nas!

— Czy koledzy myślicie, że ja się zlęknę? — zaśmiał się — ja nie taki. Ja już kończę i stawiam wniosek, aby „Zjednoczenie“ powiedziało raz na zawsze, co ono myśli o socyaliźmie, a swoją drogą niech „Kółko“ będzie przyjęte dla idei braterstwa narodów.

Usiadł, ciężko oddychając i ręką otarł spocone czoło, a za kilka, dość nieśmiałych oklasków, skinął głową z wielką wdzięcznością.

W sali już się ściemniło, wszedł woźny, zapalił lampy boczne, a na stole ustawił dwie świece. Po jego wyjściu przemówił przewodniczący:

— Kolega Waldman odbiegł od dyskusyi i postawił dwa wnioski. Pierwszy zostawiam na razie na uboczu, a drugi poddam pod głosowanie... Kolega Cypryański ma głos.

Zbliżył się do stołu, i oparłszy jednę rękę na nim, spojrzał z lekkiem szyderstwem w stronę siedzących obok siebie Żaleckiego i Waldmana.

— Kolega Żalecki wyznał, że lubi nagość cielesną — uśmiechnął się — a nagość duszy sprawia mu przykrość. Ja znów przeciwnie, lubię nagość duszy, rozumiejąc pod tem szczerość.. no i piękną nagością... w rzeźbie nie pogardzam. Kolega Żalecki obnażył swą duszę i zobaczyliśmy, iż on, czy gdy spaceruje swobodny, czy gdy uczy się lub zjada obiad, przyrządzony przez kucharza-robotnika, wylewa potoki łez lub współczujących

słów nad biednymi, uciemiężonymi robotnikami w Honolulu czy Patagonii. Dużo im to pomoże... ale i to dobre na te ciężkie czasy. Co jednak kolega robi, aby ulżyć tym biedakom?... Biadam, współczuję i spodziewam się, że gdy będą uświadomieni i wolni, stworzą nam Polskę robotniczą. „Ciesz się Kuba, znajdzie się twoja zguba“ — uśmiechnął się — a my pracujemy i dążymy do odzyskania Polski, wytężamy wszystkie nasze siły, i nie straszne nam cytadele, Schlüsselbergi, Petropawłowska, katorgi, Sybir, Sachalin, więzienia i kary. Cel nasz jest jasny, określony, zrozumiały, idziemy do niego po przez męki i katusze i kto czuje się Polakiem, nie może się wyłamywać ze szeregu. A jaką ta Polska będzie? arystokratyczną, demokratyczną, socyalistyczną, robotniczą, to później pogadamy, idzie tylko o to, aby była niepodległą.

Rozległy się oklaski, a on po chwili:

— Zbyt drogo zapłaciliśmy za złudzenie, że obcy nam pomogą... dziś liczymy tylko na siebie, tylko na własne siły. Że jednak do zwalczenia mamy trzy wielkie państwa, musimy zmobilizować cały naród. Wskazywanie jakichś mrzonek socyalistycznych, nadzieja, że syty Niemiec lub tłusty Moskal odbuduje nam Polskę... to wolne żarty. Z tego powodu potępiam nie sam socyalizm, który jako teorya ma swe zalety, ale ślepe przenoszenie go na nasz grunt, bo on rozdwaja siły, osłabia karność, rozprasza cele, dążenia. Dlatego byłem i jestem przeciwny wpuszczeniu „Kółka“ do nas, bo my tworzymy szereg jednolity, walczący w imię jednego hasła, jednego ideału: niepodległości Polski.

A gdy brawa umilkły:

— Przed chwilą słyszeliśmy tu proroka, głoszącego, że Polski nie będzie, że ona rozpłynie się w ludzkości... był to Waldman.

— Przepraszam — zawołał oburzony — ja mówiąc o panu, mówiłem pan!

— Słusznie — skłonił się z ironią. — Otóż wielmożny pan Waldman, syn kapitalisty i właściciela fabryki, zabawia się w swej młodości socyalizmem...

— Ja zawsze nim zostanę!

— Zobaczymy... i wielmożny pan Waldman głosi, że serce mu pęka, gdy widzi uciśnionego robotnika... ale mieszka, ubiera się, bawi, żyje za pieniądze wyciśnięte z „nadwartości“, jak wy mówicie, pracy tegoż robotnika i procentu od kapitału; gdzież tu logika, gdzie słowa, a gdzie czyn? My na każdym kroku stwierdzamy ideę naszą, a wy?

— Bo żyjemy w ustroju kapitalistycznym — krzyknął podrażniony Waldman.

— Więc zacznij wielmożny panie Waldman zmianę od siebie... czekamy... lecz nim to nastąpi, chcę poruszyć tutaj ważną sprawę, dotyczącą „Zjednoczenia“, pozwolą mi koledzy?

— Prosimy — zawołano z różnych stron.

— Posiadam dowody, że jeden z naszych kolegów, członek „Zjednoczenia“, wyjechawszy do fabrycznej miejscowości, zajął się tam szerzeniem socyalizmu zapomocą broszur i zgromadzeń...

— Proszę o głos! — rzekł spokojnie Żalecki.

— Szanuję każde szczere przekonanie i wolno było temu koledze użyć swemu sercu agitacyą, ale gdy zapytany, kto zacz? powiedział, że należy do „Zjednoczenia“, postać rzeczy się zmieniła. Nie wolno bowiem nikomu narzucać „Zjednoczeniu“ swych przekonań, zasłaniać siebie i swoich czynów powagą towarzystwa, samowiednie czy bezwiednie zrzucać swoją odpowiedzialność na barki „Zjednoczenia“. I z tego powodu stawiam wniosek, aby raz na zawsze zabronić członkom nadużywania firmy „Zjednoczenia“ w sprawach osobistych.

Usiadł na dawnem miejscu, a w sali przez chwilę zapanowała cisza. Wiedziano, że Cypryański nie rzuca słów na wiatr, domyślano się, że o Żaleckim mówił, a on, mimo różnicy przekonań, był lubiany i szanowany, więc z naprężonem zaciekawieniem oczekiwano rozwiązania sprawy.

— Kolega Cypryański — zaczął chłodnym tonem Żalecki — powiedział prawdę. Tak jest, ja byłem wśród robotników, ja agitowałem, ja zwoływałem zgromadzenia, przemawiałem i rozdawałem broszury socyalistyczne... tylko o tyle był niedokładnie poinformowany, że nie zastawiałem siebie towarzystwem „Zjednoczenie“. Rzecz tak się miała. Zależało mi na zwiedzeniu jednej z fabryk, a gdy urzędnik spytał o legitymacyę moją, nie miałem żadnej, prócz listu pisanego do mnie, jako bibliotekarza „Zjednoczenia“ i mojej odpowiedzi na blankiecie towarzystwa. Nie przypuszczałem, że o tak drobną rzecz padną gromy... ale kolega Cypryański lubi być piorunowładnym Zeusem i druzgotać nietylko ludzi, ale i idee. Pomijam drwiny ze mnie i kolegi Waldmana, idzie o rzecz samą, o socyalizm.

— Kolega Żalecki odstępuje od przedmiotu — zauważył przewodniczący.

— Kolega przewodniczący myli się — powiedział drwiąco — nie idzie o „Kółko“ teraz, ale o zasadniczą sprawę, którą poruszył z wiedzą i wolą zebrania kolega Cypryański. Pyta się kolega, co robimy my, socyalni demokraci? To dowodzi, że nawet tak bystry polityk bywa ślepym. My zmniejszyliśmy dzień roboczy, aby robotnik miał czas i możność pracować nad sobą; my łączymy robotników w organizacye fachowe, aby wytargować lepsze zapłaty; my uświadamiamy ich odczytami i broszurami; my nakłaniamy ich do zakładania kas chorych i zapomogowych; my zwolna, ale bez przerwy szeregujemy ich do przyszłej walki o wolność i równość wszystkich i dla wszystkich. To my robimy, my socyalni demokraci, szerzymy światło i dobrobyt..., a wy politykujecie i umizgacie się do wielkich właścicieli, fabrykantów, kapitalistów i tym podobnych pijawek społecznych. I widzę z żalem, że wam wystarcza świeczka łojowa, bo własna, a nam trzeba słońca prawdy i szczęścia dla wszystkich. To nie moja droga, nie moje towarzystwo, nie moi współbojownicy zgniecenia zmurszałych form świata... wy inni ludzie... i aniżeli prowadzić jałowe spory, idźmy każdy swoją drogą, bez nienawiści, ale i bez przyjaźni... Z dniem dzisiejszym wypisuję się ze „Zjednoczenia“.



Wezwany wstał, surowy zazwyczaj wyraz jego twarzy stał się bardziej zaciętym...

— Zostań!

— Zastanów się!

— Zaczekaj! — odezwały się głosy.

Żalecki stał jeszcze niezdecydowany, gdy podniósł się wysoki Zbrojski, i nie prosząc o głos, zaczął:

— Słuchaj, kolego Żalecki, zrobisz co zechcesz, ale zastanów się chwilę; pierwsze popędy uczuciowe nie zawsze są sprawiedliwe.

Zagadnięty poruszył się niecierpliwie, drażnił go bowiem drwiący wzrok Cypryańskiego i jego dumna mina, lecz Zbrojski, zauważywszy ruch jego, mówił swoim łagodnym, melodyjnym głosem:

— Wysłuchałem przemówień kolegi, posłuchaj i mojego... I ty, kolego i Cypryański dążycie do tego samego celu, obydwaj chcecie wolności i szczęścia dla swego narodu, tylko kolega Cypryański troskę o inne narody zostawia im samym, a ty obejmujesz całą ludzkość. Różnicie się w drogach i środkach, ale ostateczny cel jest ten sam. Czy dla samej sprawy nie byłoby lepiej, abyście pracowali obok siebie, a nie przeciw sobie? Ty, kolego, modyfikowałbyś jego zapędy, on wstrzymywałby ciebie na pochyłości. Dyskusya w takich rzeczach nigdy nie jest marną i straconą, ona rozjaśnia, łagodzi przeciwieństwa, zaznajamia wzajemnie. Więc nie zrywaj z nami, bądź nam i nadal dobrym i wiernym towarzyszem. Samopas idąc, jesteśmy słabi i łatwo pobłądzić po krętych ścieżkach życia. Kolego Cypryański, tyś istotnie był zbyt bezwzględnym, podaj pierwszy rękę do zgody...

Wezwany wstał, surowy zazwyczaj wyraz jego twarzy stał się bardziej zaciętym i rzekł głosem zimnym:

— Rękę podać mogę, ale od zasady nie odstąpię; kto nie z nami, ten przeciwko nam!

— Przyjmuję twoją dłoń na znak pożegnania — skłonił się Żalecki i skierował się ku drzwiom.

— Ja z tobą! — zawołał Waldman, porywając się z krzesła.

Za wychodzącymi poszła Olga, Helena, Edmund i kilku innych członków „Zjednoczenia“.

III.

Schodzili w milczeniu po schodach, jeden tylko Waldman udawał wesołego i z głośnym wybuchem śmiechu zawołał:

— Nauczyłeś tych burżujów rozumu, usłyszeli słowa prawdy.

A gdy Żalecki zbył tę przemowę milczeniem rozweselony Waldman zwrócił się do Olgi:

— Jakże koleżance podobali się te inteligentniki z mózgami ptasiemi — śmiał się — to sami narodowi demokraci, którzy kiwają palcem w bucie na Rosyę, Niemcy, Austryę a sami siedzą cicho, jak mysz pod miotłą. Czy nie tak? Co?

— Za mało ich znam — odpowiedziała z ociąganiem.

— Jakto za mało? Dość im się przysłuchać przez ćwierć godziny, aby poznać ich wiedzę socyalną. Może nie?

Mijali się z wchodzącemi osobami i to zwolniło Olgę od odpowiedzi.

W sieni, słabo oświetlonej, przystanął Żalecki, aż zejdą wszyscy i rzucił pytanie:

— Gdzie idziemy?

Edmund, który stał blisko, oświetlony lampą płonącą na ulicy, odpowiedział tonem zachęcającym:

— Chodźmy do kawiarni „Nowości“, tam jest osobny pokój... pogadamy.

— Do „Nowości“! Do „Nowości“! — powtórzyli inni i wyszli całą gromadą na jasno oświetloną ulicę.

— Rozdzielmy się! — radziła Helena Borwiczówna — nie róbmy ze siebie widowiska!

— Co mi tam! — zawołał Eisenfach, niski, krępy, ubrany w pelerynę włochatą — trzeba gorszyć burżujów, będzie im mniej smakowała kolacya — śmiał się — idźmy kupą całą.

— Dzieciństwo — mruknął Żalecki niecierpliwie — ani czas, ani miejsce na manifestacye chłopaków. Chodź ze mną, Edmundzie — i przeszli na drugą stronę ulicy.

Po dobrej chwili naśladowały ich Olga i Helena.

— Nie przypuszczałem nigdy, że wy, koleżanko, pójdziecie za socyalistami. Tak oklaskiwałyście i chwaliły Cypryańskiego...

— I teraz mówię, że to niepospolity człowiek, energiczny, rozumny, twardych przekonań...

— A jednak nie z nim, lecz z nami trzymacie.

— Socyalizm zatacza szersze kręgi, obejmuje większe horyzonty, wskazuje na cele i dążenia wszechludzkie, dlatego też przemawia do mnie silniej, aniżeli ciasny plan narodowców.

— Jestem również waszego zdania, ale i to mnie skłania do socyalizmu, że w samych zasadach tkwi już zupełna równość i wolność kobiet i mężczyzn, gdy w innych stronnictwach zaledwie nas tolerują. Ja nie znoszę żadnych więzów i skrępowań, a wy?

— Tylko te przyjmuję, które sobie sama nakładam.

— Takie więzy są łatwe i lekkie — zaśmiała się — łamie się je, kiedy się tylko podoba.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dworek Czarnohorski w Worochcie: Dworzec tatrzański w Worochcie od wschodu. Fot. ks. Zenon Kiryłowicz.

Zwycięstwo reakcyi w Rosyi.

Zdawałoby się, że rząd rosyjski, doznawszy tylu upokorzeń w obecnej wojnie, tak na lądzie, jak



Zwycięstwo reakcyi w Rosyi: Głowa reakcyi w Rosyi, oberprokurator św. Synodu Pobiedonoscew.

i na morzu, straciwszy w ostatniej bitwie pod Cuszimą całą swoją flotę, która jedynie jeszcze podtrzymywała mocarstwowe znaczenie Rosyi, że nareszcie ten rząd, zaskorupiały w swem krótkowidztwie politycznem, ocknie się z martwoty, zrozumie doniosłość chwili, pojmie całą grozę położenia w jakiem się obecnie znajduje, potrafi ocenić i należycie rozważyć wzburzenie umysłów w całej Rosyi i nareszcie postara się, aby ugasić coraz jaśniej buchające płomienie wewnętrznej wojny, rewolucyi, którą zażegnać da się jedynie przez doniosłe reformy społeczne, przez zwołanie reprezentacyi ludu, jednem słowem przez zmianę rządu z autokratycznego na konstytucyjny. Tak sądzono w całym cywilizowanym świecie, obserwującym położenie obecne w Rosyi. Tymczasem nadzieje zawiodły.

W ostatnich dniach doniosły dzienniki, że jenerał-gubernator Trepow, podły stupajka, sprawca ohydnej rzezi petersburskiej w dniu 22 stycznia, shańbiony knutowaniem kobiet i studentów w Moskwie, mianowany został pomocnikiem ministra spraw wewnętrznych, oraz dyktatorem wojskowym. Wyposażenie Trepowa tak daleko idącemi pełnomocnictwami, jak te, których mu udzielił car, równa się ustanowieniu dyktatury Trepowa dla całej Rosyi. Pokazuje się zatem, że stronnictwo wielkich książąt zwyciężyło i nakłoniło cara, aby wypowiedział wojnę wewnętrzną wszystkim stronnictwom rosyjskim, które żądają reform. Przed kilku tygodniami wydany ukaz w sprawie tolerancyi religijnej, zapewniającej wolność wyznania, ostatnim ukazem cara został formalnie zniesiony i era tolerancyjna, kilkutygodniowa zaledwie już się skończyła.

Spodziewano się, że carat wreszcie pomyśli o rozpoczęciu rokowań pokojowych z Japonią, bo wojna już się wszystkim dała we znaki. Tymczasem i to okazało się złudzeniem. Najlepszym dowodem ślepego uporu cara i rządzącej kamaryli, są słowa samego władcy Wszech-Rosyi po pogromie Rożdiestwieńskiego. Kiedy mu zakomunikowano pogrom floty, car powiedział: „A jednak będziemy dalej walczyli!“

Sądzono wreszcie, że po pogromie pod Cuszimą nadeszła stosowna pora, że rząd przystąpi do zapowiadanych od dawna reform. Chodziło głównie o zwołanie soboru. I rzeczywiście. Rząd zabrał się do tego. Minister spraw wewnętrznych, Bułygin, wypracował już projekt przedstawicielstwa Rady narodowej, który, jak się zdaje, będzie zatwierdzony przez radę ministrów. Ale projekt ten zawiódł również wszystkie nadzieje. Przedewszystkiem Rada narodowa nie będzie, jak powinna, ciałem ustawodawczem, lecz doradczym, bo ten „parlament“



Zwycięstwo reakcyi w Rosyi: Jenerał Trepow, obecnie dyktator wojskowy nad całą Rosyą.



Zwycięstwo reakcyi w Rosyi: Minister Bułygin, autor projektu „Rady narodowej“.

rosyjski nie będzie miał żadnej władzy. Po nad nim, jako pewien rodzaj Izby wyższej, stoi tak zwana „Rada państwa“, złożona przeważnie z byłych wysokich dygnitarzy biurokratycznych, ustawy zaś, uchwalone przez „Radę narodową“, nie będą mogły być przedłożone do sankcyi, dopóki ich nie zatwierdzi „Rada państwa“. A nie można przecież przypuszczać, aby czynownicy, zasiadający w „Radzie państwa“ zgodzili się na ustawy, mogące ukrócić wszechwładzę biurokracyi. „Rada narodowa“, jaką car obdarzy Rosyę, ma być tylko wygodnym dla autokracyi carskiej i czynowniczej parawanem, ozdobionym kilku fantastycznymi obrazkami konstytucyi, a mającym na zewnątrz pokrywać dotychczasowy bezrząd i nadużycia.

Rosya wchodzi zatem na nowo w okres skrajnej reakcyi i jak najbardziej samowolnego systemu policyjnego. Reakcyjna kamaryla z Pobiedonoscewem na czele, zwyciężyła. Ale też w całej Ro-



Fot. ks. Zenon Kiryłowicz.
Dworek Czarnohorski w Worochcie: Dworek „Czarnohorski“ Tow. Tatrzańskiego w Worochcie.

syi pojawia się coraz silniejszy prąd przeciw obecnemu systemowi.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografie głośnych macherów ostatniego szwindlu carskiego z narodem, a mianowicie najwstreczniejszego, ale też najbardziej wpływowego czynownika Pobiedonoscewa, stupajki Trepowa i autora projektu zwołania „Rady narodowej" ministra Bułygina.

Dworek Czarnohorski w Worochcie.

Do najwspanialszej po Tatrach, części naszych Karpat należy pasmo czarnohorskie, przecięte Prutem i jego dopływami. Część ta, dzisiaj dobrze już zbadana, do roku 1894 była tajemniczą puszczą. Dopiero kolej żelazna Stanisławów-Woronienka, oddana w roku 1894 do użytku publicznego, ułatwiła szerszym warstwom ludności przystęp do Czarnohory. Z biegiem czasu powstawały obok kolei domki i wille, nawet całe osady, przeznaczone dla letników, szukających w miesiącach wakacyjnych spoczynku w miejscu, przesiąkniętem balsamiczną wonią olbrzymich lasów świerkowych. Lasy te opiewane są dzisiaj w poezyi, zwłaszcza w poezyi ludowej, bo słynęły z tego, że obok niedźwiedzi ukazywali się w nich słynni opryszkowie, siejący dawniej postrach na całem Pokuciu, jak np. znany z pieśni Dobosz. To też kiedy dawniej odważny letnik zapuszczał się najdalej do Delatyna, to teraz miejscowości takie jak Jaremcze, Jamna, Mikuliczyn, Tatarów i Worochta roją się w miesiącach letnich od tysięcy ludzi, podziwiających piękności cudnych gór.

Pomiędzy wymienionymi osadami prawdziwą perłą jest Worochta. Położona na znacznej wysokości — 750 metrów nad powierzchnią morza, otoczona ze wszystkich stron wysokimi, ponad 1000 m. szczytami jak Rebrowaczem i Magórą z północy i wschodu, pasmem Seredynki z zachodu, Kiczerą i Kukulem z południa, stanowi Worochta



Jubileusz szkoły: P. Ludwika Tschapkowa.

obszerną kotlinę, przedzieloną wartkimi nurtami Prutu, na dwie części, na której obok mieszkań Huculów, w specyalnym stylu huculskim zbudowanych, wznosi się kilkadziesiąt will dla letników i turystów. Inicyatywę do budowania dał Czarnohorski oddział Towarzystwa Tatrzańskiego, który już przed 10 laty urządził zakupiony tam dom na hotelik pod nazwą „Dworek Czarnohorski", celem ułatwienia pobytu licznym swoim członkom w uroczej okolicy i celem zwrócenia ruchu turystycznego w te strony. Dworek składa się z 9 pokoi i obszernej sali, może pomieścić zwyż 20 osób, a w razie silniejszego napływu i dwa razy tyle.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze ryciny przedstawiają „Dworek czarnohorski" z dwóch stron.

Jubileusz szkoły.

Jakie znaczenie ma dla społeczeństwa szkoła i to szkoła, prowadzona pod każdym względem wzorowo, o tem chyba pisać nie potrzebujemy. Wiadomo powszechnie, że przyszłość narodu zależy od tego, w jaki sposób ten naród wychowuje swą młodzież. O ile jednak trudne jest wychowanie chłopców, o tyle, w dzisiejszych zwłaszcza czasach, trudniejsze jest wychowywanie dziewcząt. Kobieta bowiem, mająca w przyszłości zostać żoną i matką, posiadać musi i wykształcenie, odpowiednie duchowi czasu, żeby mogła być dobrą żoną i dobrą matką. Zadanie to trudne i prawdziwą wdzięczność musimy mieć dla wychowawców, którzy zadanie to spełniają sumiennie i uczciwie, którzy, nie zważając na to, czy im dobrem czy złem za ich pracę odpłacą, wszystkie swe siły wkładają w wychowanie powierzonych ich pieczy młodych latorośli narodu.

Przy ul. Kanoniczej w Krakowie mieści się prywatna szkoła, połączona z pensyonatem dla panien. Znana to instytucya wychochawcza i słusznym przez społeczeństwo otoczona szacunkiem. Mówimy tu o wyższej szkole żeńskiej p. Ludmiły Tschapkowej. Przez dwadzieścia pięć lat szkoła ta rozwijała się coraz bardziej, uzyskała zrównanie jej ze szkołami państwowemi i dzisiaj jest jedną z najpoważniejszych instytucyj wychowawczych w Krakowie. I co charakterystyczne, że cieszy się ona ogromną sympatyą w całym kraju, pomimo, że językiem wykładowym jest w niej język niemiecki. Czemuż to przypisać? Oto temu, że szkoła p. Tschapkowej jest zakładem ściśle naukowym i wychowawczym, zakładem, w którym nie mają miejsca żadne zawiści narodowe. Jestto szkoła, ma-



Zamordowany przez oprawców: Żandarmi znajdują w zbożu zwłoki zamordowanego Ignacego Orłowskiego.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Oskar II, król szwedzki.

jąca za zadanie jedynie uczyć i wychowywać i programu tego trzyma się ściśle. Że zaś jako szkoła może słusznie uchodzić za wzorową, o tem świadczy uznanie, jakiego ze wszystkich stron doznaje zacna kierowniczka, p. Tschapkowa, tak ze strony swoich uczenic, jak i ze strony rodziców. Uczennice p. Tschapkowej, aczkolwiek słuchają wykładów po niemiecku, co jedynie za dobrą stronę zakładu uważać należy, bo język niemiecki, u nas szczególniej, jest na każdym kroku potrzebny, uczą się również po francusku i po angielsku. Nauka języka polskiego stoi zaś na tym samym poziomie, co i w wyższych szkołach żeńskich o języku wykładowym polskim. Fachowe siły nauczycielskie, pełne taktu i zrozumienia swej roli kierownictwo zakładu sprawiły, że szkoła p. Tschapkowej musiała zyskać sobie uznanie wśród polskiego społeczeństwa; pod względem ilości uczenic przewyższa dzisiaj wszystkie inne szkoły prywatne.

Dnia 7 b. m. obchodziła p. Tschapkowa 25-letni jubileusz istnienia swego zakładu. Łącząc się z uznaniem ogółu, podajemy w dzisiejszym numerze notatkę o tej szkole, oraz portret p. Tschapkowej.

Dwudziestopięcioletni jubileusz istnienia „Gwiazdy“ w Zaleszczykach.

W małych miastach, nie posiadających ani teatru, ani też żadnych lokali, w którychby się koncentrowało życie towarzyskie obywateli, bardzo ważną rolę odgrywają wszelkie stowarzyszenia, które czyto przez przedstawienia amatorskie, czy wspólne wycieczki itd. przerywają monotonię życia prowincyonalnego. Zwłaszcza dla sfer niższych, robotniczych stowarzyszenia mają ogromne znaczenie już choćby dlatego, że koncentrują w sobie życie towarzyskie i umysłowe, że odciągają członków swoich od wysiadywania w szynkach i tracenia tam krwawo zapracowanego grosza.

Przed kilkunastu dniami obchodzono w Zaleszczykach uroczyście 25 letni jubileusz istnienia stowarzyszenia „Gwiazda“. Uroczystość ta połączoną była z uroczystością poświęcenia nowego budynku „Gwiazdy“. Rzadka to uroczystość w życiu miast galicyjskich. Pierwsze takie stowarzyszenie zawiązanem bowiem zostało we Lwowie w roku 1868, i dopiero za przykładem stolicy poszły później niektóre miasta. Dzisiaj ogółem jest 15 miast, w których „Gwiazdy“ egzystują, bardzo mało jednak jest takich, jak Zaleszczyki, gdzie zapał dla sprawy i dobra organizacya doprowadziły do rozkwitu stowarzyszenia, tak, że obecnie „Gwiazda“ mogła sobie założyć własne gniazdo.

Przed 2 laty powziął Wydział obecny myśl zbudowania nowego gmachu dla użytku stowarzyszenia, a chociaż był tylko gruntu kawałek pod budynek, to energicznej pracy i zapobiegliwości pp. Zygmunta Pawłowskiego i Michała Staszkiewicza zawdzięcza „Gwiazda“ że może dziś na własnem gospodarować. P. Zygmunt Pawłowski, założyciel Sokoła w Zaleszczykach, prezes „Gwiazdy“ nie szczędził trudów i zabiegów, by myśl tylko do skutku doprowadzić i mając szczęśliwą rękę doprowadził, a szczerze mu w tej pracy sekundował p. Michał Staszkiewicz, sekretarz i bibliotekarz



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Król duński Chrystyan IX.

Towarzystwa, który przez szereg lat zapisał się złotymi głoskami nad stworzeniem olbrzymiej obecnie biblioteki „Gwiazdy“.

Ze skromnych funduszów powstał gmach, oddany 1 czerwca dla użytku stowarzyszonych. Poświęcenia dokonał proboszcz X. kanonik Piotrowski, w asystencyi duchowieństwa; w uroczystości wzięły udział wszystkie miejscowe korporacye, gmina, „Sokół“, straż ogniowa, reprezentanci władz rządowych i autonomicznych; uroczystość zakończyła się wieczorem, na który złożyły się patryotyczne deklamacye, śpiewy i fortepian.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię budynku „Gmachu“ po poświęceniu i portrety zasłużonego prezesa i sekretarza „Gwiazdy“.

Oderwanie się Norwegii od Szwecyi.

Długoletni zatarg między Norwegią a Szwecyą zamienił się w ubiegłym tygodniu na zupełny mię



Dwudziestopięciolecie istnienia „Gwiazdy“ w Zaleszczykach: Nowy budynek „Gwiazdy“ w chwili poświęcenia.



Dwudziestopięciolecie istnienia „Gwiazdy“ w Zaleszczykach: Zygmunt Pawłowski, założyciel „Sokoła“, prezes „Gwiazdy“ w Zaleszczykach.

dzy tymi dwoma państwami, połączonemi unią personalną, rozbrat. Storting, to jest parlament norweski, uchwalił mianowicie detronizacyę króla Oskara II i powierzył rządy Radzie państwowej, która ma wykonywać przysługującą królowi władzę zgodnie z konstytucyą i ustawami Norwegii, z temi jedynie zmianami — jak brzmi uchwała „aby zjednoczenie Norwegii ze Szwecyą pod królem ustało“. Kierownictwo rządów objął prezydent ministrów Michelsen. Aby dobrze zrozumieć ten doniosły polityczny wypadek, zależy uprzytomnić sobie pokrótce historyę Norwegii, a zwłaszcza jej łączności ze Szwecyą.

Aż do roku 1375 Norwegia tworzyła samodzielne królestwo. W tym roku przeszła drogą spadku pod berło królów duńskich i do roku 1523 była częścią wielkiego państwa skandynawskiego, pod panowaniem Danii. Po oderwaniu się Szwecyi w roku 1523 pozostała nadal przy Danii, ale stopniowo traciła coraz bardziej swoją autonomię, tak, że około roku 1814 była już tylko prowincyą duńską. W czasie wojen napoleońskich Anglia i Rosya, aby ukarać Danię za jej przymierze z Francyą, postanowiły przyłączyć Norwegię do Szwecyi. Po krótkiej wojnie Dania, pobita kilkakrotnie przez szwedzkiego następcę tronu, byłego marszałka napoleońskiego, Bernadotte, zawarła w Kielu w roku 1814 pokój, w którym zgodziła się na odstąpienie Szwecyi swojej prowincyi Norwegii. Ustępstwa tego nie uznał jednakże ówczesny namiestnik Norwegii syn króla duńskiego, Chrystyan, który zwołał sejm norweski, nadał Norwegii konstytucyę bardzo demokratyczną i bardzo liberalną i ogłosił się królem Norwegii, ale pobity kilkakrotnie przez Szwedów musiał opuścić ten kraj i powrócić do Danii.

Pomiędzy Szwecyą a Norwegią stanął wtedy układ, mocą którego oba te państwa połączyły się pod jedną dynastyą w formie unii personalnej.

Konstytucya norweska jest jedną z najliberalniejszych na świecie. Królowi szwedzkiemu nie wolno robić niczego bez porozumienia się i zgody norweskiej Rady państwowej. Wszystkie ustawy uchwala storting, a król ma tylko ograniczone prawo veta, bo ustawa, trzykrotnie przez storting przyjęta, wchodzi w życie nawet bez sankcyi monarszej. Storting i wybrany z pośród niego tzw. „Lagting“, rodzaj Izby wyższej, wykonują wspólnie z rządem królewskim wszelkie czynności urzędowe na wewnątrz. Jedynie polityka zagraniczna Norwegii, dyplomacya i konsulaty są wspólnie ze Szwecyą i o to toczy się od lat już wielu zacięty spór.

Spór ten wzrastał coraz bardziej tak, że spowodował w Norwegii ruch separacyjny, zdążający do oderwania się zupełnego od Szwecyi, aż wreszcie do tego oderwania doprowadził. Norwegczycy bowiem twierdzą, że samodzielności Norwegii w polityce zagranicznej wymaga nie tylko godność narodu, ale i rozwój jego stosunków ekonomicznych. I nic dziwnego. Norwegczycy, dzięki sprzyjającym okolicznościom, wytworzyli sobie nader bogate, podziwiane przez całą Europę życie umysłowe; jest to dzisiaj jedyny w Europie kraj, który nie ma analfabetów, w którym wszyscy obywatele umieją czytać i pisać, a zarazem jest to kraj najbardziej radykalny.

Naród, który ma takie warunki rozwoju, nie



Dwudziestopięciolecie istnienia „Gwiazdy“ w Zaleszczykach: Michał Staszkiewicz, sekretarz i bibliotekarz „Gwiazdy“ w Zaleszczykach.

mógł dłużej pozostawać pod hegemonią szwedzką. Zapragnął samodzielności w polityce zegranicznej Obecnie nurtują go jeszcze trzy prądy. Jeden republikański, domagający się utworzenia z norwegii republiki, drugi, monarchiczny, mający dwie partye: jedna chce na tron norweski, powołać którego z młodszych synów króla szwedzkiego Oskara II, druga żąda przyłączenia się do Danii.

Kto zwycięży — o tem na razie wiedzieć nie możemy. W chwili oddania numeru na maszynę, sytuacya była ogromnie naprężona, król szwedzki założył bowiem przeciw uchwale stortingu energiczny protest. Jeśliby przyszło do rozprawy zbrojnej, czamu zdaje się zapobiegnie dyplomacya, to widoki Norwegii na przyszłość bledną. Szwecya przewyższa ją bowiem co najmniej dziesięciokrotnie pod względem liczby armii czynnej, a wraz z rezerwami siła ta wzrosłaby co najmniej do tego stopnia, że Norwegia nie ma co marzyć o wojnie.

Podajemy w dzisiejszym numerze portrety króla szwedzkiego Oskara II, jego żony, oraz portret króla duńskiego Chrystyana.



Dwudziestopięciolecie istnienia „Gwiazdy“ w Zaleszczykach: Straż pożarna i „Sokół“ podczas poświęcenia nowego budynku „Gwiazdy“.



O dwa miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

(Ciąg dalszy).

— Dziękuję. Proszę, niech pani wejdzie do prywatnego gabinetu mister Milesa. Ja się tymczasem telefonicznie z nim rozmówię.

Młoda kobieta usiadła na krześle w zbytkownie i z wyszukaną elegancyą urządzonym pokoju a mister Zygmunt podszedł do telefonu, nacisnął guzik i przyłożył do ucha słuchawkę.

W małym pokoiku na trzeciem piętrze, urządzonym zupełnie tak samo jak ten, w którym stał mister Zygmunt, zabrzmiał w tej samej chwili dzwonek, a w parę sekund później przestąpił próg młody mister Vanderhook.

— Któż tam znowu? — rzekł, zwrócony do tuby telefonicznego aparatu — a, to pan, mister Zygmunt, tak, tak. Jak się nazywa? Miss Collins? Nie znam. Ale niech zaczeka, przyjdę, jak będę mógł najprędzej.

Ze spuszczoną głową opuścił mister Vanderhook pokój i udał się do stosunkowo małego, ale urządzonego z niebywałym przepychem gabinetu, znajdującego się na temsamem piętrze. Podłoga zasłana była miękkimi dywanami, sufit ozdobiony pysznemi sztukateryami, a z pomiędzy kosztownych malowideł, ze smakiem poumieszczanych na ścianach, przebijały wspaniałe tapety. Pośród tych wspaniałości siedział szef banku ze spuszczoną głową. z oczyma utkwionemi w podłodze. Jedna ręka zwisła mu bezwładnie, drugą, również jakby bezwładną, oparł na stole. Wysoka postać starca, zdawało się, skurczyła się i zgarbiła, wewnętrznym opanowana niepokojem. Wilgotne jeszcze ślady łez lśniły na pomarszczonych policzkach.

Kiedy młody Vanderhook wszedł i miarowym krokiem zbliżył się, starzec się podniósł, a w oczach jego zabłysły ognie.

— Moja to wina, moja, Milesie — rzekł drżącym głosem — zarzuty, jakie ja tobie robię, po części mnie samego dotyczą. Matka twoja za młodu cię odumarła, ty byłeś jeszcze maleńkim chłopcem. Cała moja miłość przeniosła się wtedy na ciebie. Ja cię wychowałem i ja cię zaprzepaściłem, bo nie miałem na tyle sił, aby się oprzeć twoim żądaniom. Liczyłem na twoje serce, na twoją miłość ku mnie, na twoją wdzięczność...

Miles poruszył niecierpliwie głową.

— I nie pomyliłeś się, ojcze — rzekł cicho.

— Co? Nie pomyliłem się? Czyż od dwóch lat poświęciłeś mnie, ojcu twemu, sekundę czasu? Tak, haha, prawda, nie liczę tych wszystkich chwil, kiedy się do mnie zwracałeś po pieniądze. Dawałem ci je pełną garścią, bo miałem nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy się ustatkujesz. Ale — ale, Milesie, że to do tego doszło...

— Do czego? — wybuchnął młodzieniec. — areszcie możemy mówić otwarcie i bez ogródek. Czy uważasz mnie za zdolnego do zbrodni? Czy mogła kiedy choćby na sekundę przebłysnąć w umyśle twoim myśl, że ja jestem zwyczajnym złodziejem, włamywaczem, a więc wyrafinowanym zbrodniarzem? Jeśli tak, to w tej chwili dom ten opuszczam i więcej już nie mam ojca.

N

Starzec potrząsł głową.

— Nie przystoi ci ten ton, Milesie. Podejrzenie padło na ciebie, a ty nie robisz nic, aby je odsunąć.

— Nie mogę!

— A więc też musisz wysłuchać i cierpkich słów. Posłuchaj: Przed trzema tygodniami przyszedłeś do mnie i zażądałeś sumy, która mnie wystarcza na prowadzenie domu przez cały rok. Odmówiłem ci jej — po raz pierwszy nie uczyniłem zadość twemu życzeniu. To była próba, Milesie. Co on teraz zrobi, myślałem, czy się ustatkuje nareszcie? Obserwowałem cię tedy, jak mogłem najlepiej, nawet wtedy, kiedy się czułeś zupełnie bezpiecznym. Wiem o tem, że całe noce przepędzałeś w szulerniach, po części bardzo dobrze znanych policyi, wiem, że zarabiałeś tysiące, aleś też tysiące tracił. Z jakiego źródła pokrywałeś niedobór? Nie wygrywałeś tyle, ileś przegrywał, a obserwowałem też czujnie i twoje inne wydatki.

— Ojcze, przysięgam ci, że teraz będzie inaczej, rzekł, patrząc na starca szeroko rozwartemi oczyma. — Od dłuższego czasu było twojem życzeniem, ażebym się ożenił, więc teraz — czegóż mam to trzymać w tajemnicy — od niedawna noszę się na seryo z myślą spełnienia twego życzenia. Wprawdzie wybór mój padł na dziewczynę biedną, ale...

— Zamilcz, Milesie — przerwał starzec — nie o przyszłości tu mowa, ale o teraźniejszości. Gdybym ja nie był moim honorem zaręczył, stałbyś nie tu, byłbyś teraz w więzieniu pod zarzutem zbrodni kradzieży z włamaniem, nazwisko Vanderhook byłoby skalane, firma zrujnowana. Czy ty nie czujesz, w jakiem strasznem ja się znajduję położeniu? Nie wiem, czy ci mam, czy ci mogę wierzyć. Twoje pełne godności zachowanie się, twoje wzburzenie, twoje miękkie, łaskoczące słowa mogą być przecież piekielnymi sztukami zbrodniarza, który u włamywaczy odbył szkołę. Odchodzę po prostu od zmysłów. Przed trzema tygodniami żądałeś odemnie pieniędzy, ja ci ich odmówiłem. Czy mam uwierzyć w to, że ty zaprzestałeś dawnego życia, że się tak nagle z gruntu zmieniłeś? Czy to włamanie i kradzież pieniędzy nie jest jakoby odpowiedzią na moje zwątpienia? O Boże! Milesie, gdyby moje straszne przeczucie miało stać się prawdą! Gdybym syna na wieki miał utracić! Nie, nie, nie mogę w to uwierzyć, myśl ta mnie pożera — mów do mnie, dziecko, mów, bo wątpię!...

Miles patrzał z boleścią na starca, który jakby wrósł do fotelu i zakrył twarz rękoma. Głębokie westchnienie wydarło się z piersi młodzieńca, wargi mu drżały.

— Na Boga wszechmocnego, jestem niewinny — zawołał. — Wiem, podejrzenie padło na mnie, ale przysięgam ci, że w umyśle moim nigdy nie powstała żadna myśl niehonorowa, żadna myśl nieuczciwa...

— A któż to był ten wysoki mężczyzna, z bujnymi czarnymi włosami, ten włamywacz, który tak do ciebie jest podobny?

— Czy ja wiem, ojcze? Przecież jest bardzo prawdopodobne, że złodzieje, którzy doskonale znali mój sposób życia, wybrali właśnie taką maskę, ażeby podejrzenie rzucić na mnie. Liczyli, zdaje się, na to, że ja, aby uniknąć skandalu, śledztwa itd. ucieknę stąd. Ale się łudzą, bo ja tu pozostanę, chyba, że mi ty, ojcze, iść każesz!

— Choćbyś chciał, Milesie, nie mógłbyś. Pilnują cię na każdym kroku. Sądzą powszechnie, że ty, kiedy się już uspokoi i policya zacznie już sprawę zaniedbywać, zechcesz ze zrabowanymi pieniądzmi uciec w świat.

— Ze zrabowanymi pieniądzmi?! Dlaczegóż podejrzenie pada wyłącznie na mnie?! Dlaczego nie padnie na Boba Murphy?!

— Dotychczas był on w więzieniu. W domu u niego zrobiono rewizyę, przewrócono wszystko do cna — nic nie wskazuje na jego winę, ani nawet na jego współudział w kradzieży. Ciało jego pokryte jest sińcami; to ślady razów, jakich mu złodzieje nie szczędzili. Biedaczysko wycierpiał dzisiaj w nocy tyle, że Bogu dziękować powinien, iż jeszcze żyje. A zresztą znamy przecie jego wierność, jego prostotę i jego ograniczoność, która wyklucza możliwość, aby on brał jakiś udział w kradzieży. Nie, Milesie, policya dobrze zrobiła, że mu uwierzyła.

— I ja mu nie mam nic do zarzucenia — rzekł Miles — ale jakże sprawa z mister Zygmuntem? Czyż on także nie wykonywał straży?

— Powiernika mego nie tykaj — rzekł ostro mister Vanderhook — nie tykaj tego człowieka, który przez swoją wierność tyloletnią, przez pełną poświęcenia pracę stał się moim przyjacielem.

— Dla policyi, ojcze, przyjaźń ta może bardzo mało znaczyć. Niejeden już poczciwiec w rezultacie okazał się złodziejem. Ja osobiście nie mam podejrzenia ani na mister Zygmunta, ani na żadnego z naszych urzędników. Ale jest faktem, nie dającym się zaprzeczyć, że także mister Zygmunt zastępował stróża i że on w każdym razie miał lepsze pojęcie o stanie naszej kasy, aniżeli ja.

— Między złodziejami nie było jednak nikogo, któryby do niego był podobny.

— Prawda!

— Zresztą on wykazał niezbicie, gdzie był tego wieczora czy tej nocy.

— Ja także!

— Ty także? Nie czujesz ty, że opowiadanie twoje wygląda na bajkę? Czyż twoje tłómaczenie się nie utwierdzi każdego w podejrzeniu przeciwko tobie? Przyjaciele twoi przyjeżdżają późno w nocy z Dalekiego Zachodu, w twojem towarzystwie udają się do portu i siadają na okręt. I kiedy ich po-

trzeba, aby zeznania twoje potwierdzili, niema ich, bo znajdują się już na pełnem morzu.

— Tak, ale za dni czternaście wylądują w Liwerpoolu i potwierdzą telegraficznie wszystko, co ja mówię.

— Ba, dla policyi mogą ci przyjaciele być obojętni — mówię twojemi słowami. O wiele prawdopodobniejsze jest, że policya przypuszcza, iż byli to twoi wspólnicy, którzy zrabowane pieniądze przewieźli bezpiecznie do Anglii, gdzie mają czekać, dopóki ty nie przybędziesz.

— Jeśli policya jest tego zdania, to ja nie mam się co bronić.

— Ale możesz wymienić nazwiska tych przyjaciół.

Sarkastyczny uśmiech ukazał się na ustach młodzieńca.

— Będę się strzegł — rzekł pogardliwie. — Liczę na to, że policya zejdzie z fałszywej drogi podejrzeń i zwróci się przeciw złodziejom, dopóki jeszcze nie umkli. Ja będę się strzegł, żeby moich zacnych przyjaciół i ich dostojnych rodzin nie pogrążyć w nieszczęście. Czyż mam pozwolić na to, aby ich w Anglii jako zbrodniarzy aresztowano, odtransportowano do Ameryki i wytoczono im proces, jedynie dlatego, że mieli to nieszczęście, iż ja ich odprowadziłem do okrętu? Tego odemnie żądać nie możesz, ojcze. Postępuję tak, jak muszę postępować, chociaż cierpię lecz milczę. I to, ojcze, jest ostatnie moje słowo!

— A więc, Milesie, rozmowa nasza skończona. Nie starałeś się trosk moich rozproszyć. Ale i ja teraz będę cierpiał i milczał. Ja bo milczeć muszę i prawdopodobnie złodzieje o tem wiedzieli. Gdyby to, co się u nas stało, dostało się do wiadomości publicznej, do banku uczynionoby szturm i byłbym zrujnowany. Zejdź na dół, Milesie. Daj Bóg, żeby się to wszystko na dobre obróciło.

Miles schylił się, w milczeniu ucałował rękę starca i wyszedł.

W małym gabinecie nastała cisza.

Szef światowej firmy bankowej opadł na poduszki fotelu, załamał ręce i stroskany patrzył tępym wzrokiem w ziemię. Pośród wyszukanego zbytku tego pokoju, pośród kosztownych obrazów, złotych i srebrnych przedmiotów, obraz starca zdawał się być żywą satyrą na szczęście rzucającej złotem amerykańskiej plutokracyi.

V.

Panna Colins musiała długo czekać.

Teraz podniosła się szybko i nagle, jakby oszołomiona niespodziewanem zjawiskiem, cofnęła się. I mister Vanderhook zatrzymał się zdumiony na progu.

— Droga pani, zdumiałem się — rzekł, patrząc na nią błyszczącemi oczyma — jednak niech pani nie rozumie źle mojego zdziwienia. Wizyta pani zaskoczyła mnie, to prawda, ale też jest mi tem bardziej przyjemną. Proszę mi wierzyć.

— Wierzę — odpowiedziała, śmiejąc się wesoło i podniosła ciemną woalkę, tak, że młodzieńcowi ukazała się różowa, delikatna twarzyczka, z błyszczącemi piwnemi oczyma. — Ale ja nie myślałam o panu, udając się tutaj i nie spodziewałam się, że pana tu znajdę. Niech pan nie myśli inaczej...

Mister Miles oparł się o poręcz fotelu i z uwagą patrzał na piękną kobietę.

— To interesujące — rzekł — ale czy mogę zapytać, czem pani mógłbym służyć? Pani wie przecież, że każde życzenie pani spełniam aż nadto chętnie, o ile mogę.

— Skromna jestem, sir. Niestety, chciałabym pomówić z panem Vanderhook.

Miles poruszył się. Blada jego twarz pokryła się silnym rumieńcem, oczy błyszczały gorączkowo. Wstał i kręcąc niecierpliwie długą swoją brodę, rzekł:

— A więc, jestem na usługi. Miles Vanderhook, to ja.

Kobieta wpiła weń zdumione oczy, poczem szybko cofnęła się ku drzwiom, z widocznym zamiarem opuszczenia tego pokoju. Ale w tej chwili Miles stanął przed nią i chwycił ją za ręce.

— Cokolwiek panią mogło tu sprowadzić, Lydio — rzekł nagle — niech mnie pani wysłucha, zanim pani wyda na mnie wyrok. Prawda, że od kilku tygodni prześladowałem panią swoją natarczywością i posługiwałem się przytem obcem, przybranem nazwiskiem, ale, na Boga, niech mi pani wierzy, nie robiłem tego w niecnych zamiarach. Kocham cię, Lydio, nie, słuchaj mnie pani do końca, kochałem cię, Lydio, a wiedziałem i czułem to, że gdybym raz tylko wymienił moje nazwisko, wyrzekłabyś się mnie i znajomości ze mną. Miles Vanderhook, ten marnotrawca, gracz, siejący pieniądzmi naokół w towarzystwie mężczyzn i kobiet najniższego gatunku, ten Miles Vanderhook nie starałby się w prawdziwie zacnych zamiarach o rękę ubogiej dziewczyny — takbyś sobie pani powiedziała i byłabyś mi bez niczego dała kosza. Ale ja jestem lepszy, aniżeli fama o mnie głosi, o ile to mnie i ciebie dotyczy, lepszy jestem. Wszystko, co pani tu powiedziałem, to prawda, to najszczersza treść mojej duszy, chociaż musiałem się źle czy dobrze z syna biednego urzędnika, starającego się o twoją rękę, przemienić na syna milionera.

Miss Collins odsunęła swoje ręce i wzrok utkwiła w ziemi.

— Zapominasz pan, mister Vanderhook, że ja i urzędnikowi nie dałam nadziei, iż zostanie wysłuchany. To, że urzędnik zmienił się na znanego Milesa Vanderhook, to jest dla pana krok wstecz. Niezmiernie bogaty bankier i biedna Lydya, nie... nie żyjemy w krainie baśni...

— O, Lydio, jak fałszywie mnie pani sądzi, a jak ja panią dobrze poznałem. Sprawiła to nietylko piękność pani, ale i ta ogromna duma kobieca, ta godność młodej panienki. Czułem, że przed panią, przed panią tylko, muszę zataić me nazwisko, które na każdem miejscu, wszędzie jakby księciu jakiemu drogę mości. Nietylko tłum, ale niejedna dumna piękność, uchodząca w oczach świata za nieskalaną świętość, korzy się potajemnie przed wszechmocnym demonem, przed mamonem. U pani po raz pierwszy, wyznaję to otwarcie, opuściła mnie ta aż do cynizmu doprowadzona pewność, że pieniądze wszędzie mi drogę otworzą. Czułem całą słabość mojego imienia i niegodność mojego życia, bo kochałem panią. Tem się tłumaczy moje postępowanie. Gniewasz się pani teraz na mnie, Lydyo?



...Pośród tych wspaniałości siedział szef banku...

Dziewczę wstrząsło głową.

— Mówmy o rzeczach ważniejszych — rzekła bez niechęci, ale jakby trochę zażenowana i zniecierpliwiona — teraz już wiem, że Miles Vanderhook, to pan...

— Pani tu przyszła do mnie w interesie — przerwał jej Miles — prawie już zapomniałem o tem. Ciekawy wypadek. Cóż panią mogło sprowadzić, Lydio?

Podał jej krzesło, a sam usiadł równocześnie przy biurku.

— Czy ja powinnabym teraz o tem mówić? — odpowiedziała wzruszona, ale opamiętała się i szybko zaczęła mówić dalej. — Jednak niema rady. Jestem w takiem położeniu, że muszę się starać o to miejsce...

— O miejsce?

— Panowie potrzebujecie panny, umiejącej pisać na maszynie.

— Co? I pani przyszłaś starać się o tę posadę, Lydio?

— Tak, mister Vanderhook, o ile się nadaję i o ile moje żądania odpowiadają panom. Tam, gdzie byłam dawniej na takiej posadzie, miałam pensyę...

— Lydio! — młodzieniec zerwał się i rozłożył ręce — o tem nie mówmy. Nie mówmy nic o warunkach. Z przyjemnością dawałbym pani pieniądze na życie i utrzymanie i bez tego, ale wiem z doświadczenia, że odrzuciłabyś moją propozycyę. A więc pozostańmy przy tem, co jest. O wynagrodzenie umówimy się osobiście. Jak pani myśli — piędziesiąt dolarów na tydzień, wystarczy?

Miss Collins zaprzeczyła ruchem głowy.

— Jeżeli pan masz rzeczywiście zamiar mnie przyjąć na tę posadę, a potrzebuję jej, to niema mowy o wynagrodzeniu w takiej wysokości. Poprzednio miałam piętnaście dolarów, chociaż jedna z moich znajomych zarabia, jako pisarka na maszynie, dwadzieścia pięć dolarów. To jest najwyższa pensya, jaką w tym zawodzie można otrzymać. Jeśli więc panu suma ta nie wydaje się zbyt wysoką...

— Ależ nie, nie. Więc angażuję panią do banku z pensyą dwadzieścia pięć dolarów na tydzień.

— Dziękuję panu. A kiedyż mam zacząć służbę?

— W tej chwili. Czy pani sądzi, że teraz oddalę panią od mego boku? O, nie, niech się pani rozbierze, proszę, niech pani siada tu, po tej stronie stołu, naprzeciwko mnie.

Młoda kobieta zdjęła kapelusz, woalkę, żakiet i rękawiczki i odrazu zajęła wyznaczone jej miejsce, aby na maszynie, stojącej na stole, zrobić pobieżną próbę. Z uśmiechem patrzał Miles na białe, długie palce dziewczęcia, potem otrząsł się, jakby ze snu, i podszedł ku oknu, spoglądając w zamyśleniu na ulicę. Z ulicy dochodził ogłuszający huk, spowodowany olbrzymim ruchem ludzi, koni, wozów, kolei i tramwajów, tworzących razem jakby obraz smaganego wichrem morza.

Naprzeciwko domu bankowego, wsparty o słup latarni, z oczyma, utkwionemi w oknach banku, stał nieporuszenie młody człowiek. Zauważył go Miles, bo był to jedyny człowiek, który oparł się burzliwej fali ludzi, idących w jedną lub drugą stronę ulicy. Policyanci, przechodzący od czasu do czasu około latarni, rzucali na stojącego pod nią człowieka badawcze spojrzenia, ale przesuwali się razem z tłumem dalej, nie rzekłszy sakramentalnego „nie zawadzać". Kiedy głowa młodego Vanderhooka ukazała się w oknie, postać czekającego jakby odżyła. Powoli obrócił się i skierował swe kroki w głąb ulicy, na rogu jednakże przystanął, popatrzał na okno banku, poczem znikł w sieni jednego z domów.

Miles zauważył go i jego szczególne zachowanie się. Zdawało się, że przez mózg przebiegła mu nagle jakaś myśl, jakby zrozumiał co to za człowiek i kogo on obserwuje. Myśl ta rozwiała słoneczny sen, jaki śnił, widząc przed sobą ukochaną Lydię — czy Mary, boć ona sama nazwała się Mary Collins. Czoło pokryło mu się zmarszczkami, odszedł do okna i usiadł przy biurku, przycisnąwszy guzik od elektrycznego dzwonka.

W dwie sekundy później otwarły się drzwi gabinetu i na progu ukazał się mister Zygmunt.

— Czy pan może już przyjąć tego pana? — zapytał.

Miles skinął głową.

— Niech wejdzie.

Wszedł drugi dżentelmen i drzwi się zamknęły.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ludwika Senowska.

Grzegorz i Ludwika Senowscy.

Teatr krakowski zorganizowany i odmłodzony pod kierownictwem dzielnego Solskiego – rozpocznie od przyszłego sezonu artystyczną kampanię – niewątpliwie uwieńczoną sukcesem. Wszystko wskazywałoby na to: i osoba dyrektora, aktora niepospolitej miary i człowieka rozległej wiedzy – i autorzy, którzy gremialnie bojkotowali dotychczasową dyrekcyę śpieszą dziś chętnie z pracami swemi dla dobra sztuki. Nie ma jednak nic bez „ale“. Nowy kierownik teatru — zdaje mi się — zbyt podstępnie wyzbywa się niektórych artystów, zasługujących bezwarunkowo na oględniejsze postępowanie z niemi, zarówno ze względu na długotrwałą służbę sumienną jak i rzetelne ich zdolności. Do takich należą np. pp. Senowscy, którzy po 13 latach ciężkiej pracy scenicznej, widzą się nagle na bruku, pozbawieni możności zarobkowania. Szkoda tych ludzi, szkoda ich sił i talentu, z których z niewiadomych przyczyn nowy kierownik nawy scenicznej, korzystać nie chce.

Pan Senowski zamierza podobno kompetować o dyrekturę teatru ludowego w Krakowie i szanse jego przedstawiają się wybornie. Jeżeli więc plan mu się powiedzie, zyskamy wybornego kierownika dla ludowego teatru, w którym haniebną gospodarkę prowadził dotychczas człowiek tak marny i ograniczony jak Gabryelski.

Grzegorz Senowski po ukończeniu szkół w młodzieńczym wieku wstępuje do teatru lwowskiego za dyr. śp. Stan. Dobrzańskiego w r. 1879. W początkach każą mu śpiewać chóry, ale kapelmistrz Jarecki widząc, że ma zdolności muzykalne i wyborny głos, obsadza go coraz częściej w rolach solowych; pierwszą jego partyą był stróż nocny w Hugenotach. Po jakimś czasie przenosi się do Królestwa na prowincyę z Juljanem Myszkowkim, nieprzestając się kształcić w muzyce i śpiewie. Tam dziwnym zbiegiem okoliczności o mało, że nie wstępuje do wojska i nie zostaje kapelmistrzem przy jednym z pułków kozackich stacyonowanych w lubelskim. Następnie przez cztery tygodnie był dyrektorem trupy wędrującej zostawionej na pastwe losu przez jednego z kolegów, wreszcie powraca



Grzegórz Senowski.

do Lwowa. Śpiewa w operach i w operetkach i grywa również w dramatach. W roku 1894 wyjeżdża z żoną do teatru stanisławowskiego i tu grywa role charakterystycznych amantów, i staje się nieocenioną siłą w prowadzeniu sztuk ze śpiewami. Tu grywa Feliksa „Nad Przepaścią“, w „Domie Otwartem“ Fikalskiego, Ademara w „Rozwiedźmy się“.

W r. 1894 angażowany z żoną na scenę krakowską, pozostaje do dziś, gra, uczy śpiewów, kieruje częścią muzyczną, a nawet komponuje.

Z publiczności nikt zapewne nie wie, czyje palce za kulisami naśladują arfę na cytrze, lub



Straszna śmierć w przystępie szału: Mieszkańcy domu pod l. 40 na ul. Topolowej znajdują trupa Różyczkowej obok klatki schodowej w sieni. (Treść na str. 3).



Żywa pochodnia: Spalony szkielet robotnika Fleischnera w chwili znalezienia go przez strażaków. (Treść na str. 3).

fortepianie, i kto wyuczał chóry i sola w sztukach śpiewnych. Dość przytoczyć „Hulaj duszę,“ gdzie prócz reżyseryi sam gra dość dużą rolę i pomaga śpiewać.

Dziś jak wspominaliśmy, podobno z przyczyn od niego niezależnych, opuszcza scenę krakowską miejskiego teatru i jak krążą pogłoski, Tow. Oświaty ludowej chce mu powierzyć kierownictwo teatru ludowego; dobry pomysł, bo pracowity, sumienny zna się na teatrze, a przez 26 lat nabrał wprawy, i wreszcie jaka siła przybyłaby ludowej scenie w osobach tej sympatycznej pary.

Ludwika Senowska, żona Grzegorza, lwowianka, zaczęła swoją karyerę artystyczną na scenie teatru stanisławowskiego w r. 1892 za dyr. Łucyana Kwiecińskiego. W roku 1894 teatr stanisławowski pod dyr. W Antoniewskiego, bawił w Krynicy, gdzie rok rocznie dawał przedstawienia; tam grano 28 lipca „Halszkę z Ostroga“ p. Senowska w roli matki. Na przedstawieniu był przypadkowo dyr. Pawlikowski, który poznał się na talencie młodej aktorki i natychmiast zaangażował ją na scenę krakowską. W dniu 25 września 1894 r. debiutowała w roli Pulcheryi (Dom Otwarty). Dyr. Pawlikowski zauważył, że talent p. Senowskiej nadaje się więcej do ról liryczno-dramatycznych. Pierwszą z ról tego zakresu była „Ksenia“ następnie poszły: w Balladynie Goplana, Ledy Milford (Intryga i Miłość), Amelja (Zbójcy), Herminia (Zimowa powieść), Kornelja (Westalka), Elżbieta (Marya Stuart) etc. etc. Mało jest aktorek, których warunki i indywidualność nadawały się tak świetnie do ról dramatycznych matek. Dość przytoczyć Rollisonowa (Dziady Mickiewicza), Wielborska (Tamten), Matka Jastrzębiec (Dyletanci Z. Wojcickiej), Amgarten (Wilhelm Tell), Sobótki epizodyczna rólka żebraczki, Baba Jaga (Dzwon Zatopiony) etc. Za dyrekcyę p. Kotarbińskiego w braku artystki do ról charakterystycznych powierzano jej ostatniemi czasy i takie role, jak w Rewizorze Petersburskim (Anna), w Panu Dyrektorze, w Urzędowej żonie, Zmartwychwstaniu itd.

Życzyć by sobie należało całem sercem, by pp. Senowscy, pozbawieni możności pracowania na scenie miejskiego teatru — otrzymali kierownictwo nad ludowym teatrem.

Zamordowany przez oprawców.

Bezpieczeństwo publiczne w prowincyonalnych miateczkach galicyjskich pozostawia — niestety! jeszcze wiele do życzenia, a stosunki w niektórych okolicach przypominają żywo głęboką Rosyę w obecnem stadyum rozprzężenia.

Nawet w takim Tarnowie nie zawsze można być pewnym życia swego zagrożonego przez zbrodnicze różne indywidua i ludzi conajmniej podejrzanej konduity. Ofiarą takich złoczyńców padł w dniu 1 b. m. zacny 23-letni młodzieniec. Oburzający fakt w ten sposób się rozegrał:

Około godziny 11 w nocy wyszedł na przechadzkę za miasto słuchacz filozofii Ignacy Orłowski w towarzystwie przyjaciół swych: Siedleckiego i pp. Zawistowskiej i Pecównej. Gdy towarzystwo wracało już do domu, spotkało na gościńcu nadchodzących od strony miasta 2 pomocników oprawcy miejskiego braci Szekierów, Henryka Partykę z Krzyża i Kiełbasę ze Smigna.

Chcąc uniknąć możliwej scysyi ze znanymi powszechnie wyrzutkami społeczeństwa, całe towarzystwo poczęło uchodzić w kierunku miasta. Łotry puścili się za niemi w pogoń. Orłowskiego wpędzili w zboże i w odległości kilkudziesięciu kroków od domów na Pogwizdowie ciężko kamieniami poranili. Spiesząca mu z ratunkiem p. Zawistowska otrzymała również cios kamieniem w głowę. Orłowskiego przewieziono do szpitala, gdzie mimo natychmiastowej operacyi i pomocy lekarskiej, umarł w piątek popołudniu. Złoczyńców chwycono tej samej nocy. Pogrzeb ofiary odbył się w niedzielę popołudniu przy olbrzymim udziale publiczności.

Rycina nasza, wykonana przez naszego rysownika, według nadesłanego nam z Tarnowa szkicu, przedstawia znalezienie nieboszczyka w zbożu, gdzie zabójcy zbrodni dokonali.

Samobójstwo w więzieniu.

Zasłużoną, lecz mimo tego smutną jest zazwyczaj dola aresztanta. Już samo pozbawienie wolności i możności swobodnego rozporządzania swym czasem i osobą — jest dla człowieka nad wyraz przykre i dotkliwe. Dodajmy do tego obostrzenia, połączone z karą więzienia — i skutki prawne, jakie kara aresztu za sobą pociąga, a zrozumiemy łatwo, że więzień, częstokroć gnębiony i szykanowany przez dozorców, traci cierpliwość i rezygnacyę i albo zwraca się z gwałtami i buntem przeciw swej władzy przełożonej, albo, co częściej bywa, sam godzi na własne nędzne życie.

Rozpaczliwego takiego kroku dopuścił się więzień, pozostający w aresztach krakowskiego sądu karnego — Stanisław Guzian. Guzian miał odcierpieć dłuższą karę za kradzież. Usposobienia gwałtownego i namiętnego, zasługiwał nieraz swoją krnąbrnością na różne dyscyplinarne kary.

Przed kilku dniami za nowe przewinienia wymierzono mu za karę 12 dni t. zw. separatki czyli więzienia celkowego. W sobotę rano, Guzian, po wizytacyi jego celi przez wiceprezydenta sądu karnego i po zmianie bielizny, przyniesionej mu przez dozorcę, przewrócił pryczę, ustawiając ją na wysokość pod oknem, a dostawszy się do kraty na prześcieradle i pasku powiesił się. Gdy samobójstwo spostrzeżono, żadne już środki ratunku nie pomogły.

Fakt, że więzień, przesadzony do celkowej separatki, mógł sobie odebrać życie, świadczy bardzo ujemnie o sumienności zarządu więzień.

Rycina nasza przedstawia denata, tak, jak go znaleziono, obwieszonego za pomocą prześcieradła u kraty okiennej w celi.



Samobójstwo w więzieniu: Dozorca znajduje więźnia Guziana powieszonego na pasku u kraty okiennej.



Św. Medard i wyścigi. — Nieco z historyi wyścigów. — Nasze zdanie o wyścigach. — Wedle stawu grobla. — Wyjazd na wilegiaturę. — Zgubna moda. — Imponowanie Magdom i Kachnom. — Wesele w Berlinie.

Jeżeli św. Medard będzie na nas łaskawy i da nam w należytej porze deszcz, a w należytej pogodę, w takim razie wyścigi krakowskie mogą liczyć na wszechstronne powodzenie.

– Jak to! — zawoła niejeden z czytelników. Więc kronikarz „Nowości Illustrowanych“ jest zwolennikiem wyścigów?

Pozwól, zacny czytelniku. Musimy się porozumieć, a wtedy z łatwością zrozumiemy się także. Otóż nie przeczę, że bez wyścigów ludzkość istnieć może, ale z tego jeszcze nie wynika, ażeby je w czambuł potępiać. Wyścigi są rycerską zabawą i dlatego Rzymianie i Grecy z zamiłowaniem je uprawiali na wielką skalę. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa kościół występował przeciwko wyścigom, które z tego powodu, a także i innych przyczyn poszły w zapomnienie. W średnich wiekach odżyły i to pośród włościaństwa. Rycerze mieli swoje turnieje, chłopi, zwłaszcza w południowych Niemczech urządzali sobie wyścigi, nawet z przeszkodami.

Ale klasyczną krainą stała się Anglia i pozostała nią dotychczas. A przecież Anglicy słyną z zimnego rozsądku i wyrachowania. Jak widzimy, wyścigi nie naruszają dobrobytu narodu, trzeba się tylko trzymać zasady: wedle stawu grobla. Ale o tem potem, a teraz kilka słów o historyi wyścigów. Otóż Anglicy już w XII wieku mieli wyścigi, wedle pewnych reguł urządzane. Już w połowie XVI wieku wyścigi angielskie stały się instytucyą narodową, używającą powszechnej sympatyi, czemś tak popularnem prawie, jak morze. Ale jeszcze przez długi czas były przedsiębiorstwami ściśle prywatnemi i dopiero z początkiem XVII wieku zjawiły się wyścigi publiczne już w nowożytnej formie. Co się tyczy zakładów o zwycięstwo tego lub owego konia, to już w XVI wieku na polu wyścigowem zakładali się Anglicy o znaczne często sumy. Wogóle, jak wiadomo, Anglicy są namiętnymi zwolennikami zakładania się nawet z powodu drobnostek. Z pierwotnych zakładów powstał nowożytny totalizator.

W Europie wyścigi właściwe powstały bardzo późno; w niektórych krajach dopiero w XIX wieku. Na przykład Berlin, dobijający się dzisiaj o tytuł stolicy świata, widział pierwsze wyścigi dopiero w r. 1830. Polacy, naród rycerski, a więc zamiłowany w koniach, nie zdobyli się mimo to na wyścigi w stylu angielskim. Szlachta, zjechawszy się, urządzała sobie wyścigi na błoniach, ale była to zabawa dorywcza, bez planu i reguł. Obecnie na tem polu prym wiedzie Warszawa, a w ostatnich latach i Kraków zdobywa się na wyścigi.

Ludzie rozsądni występują często przeciwko wyścigom z powodu totalizatorstwa, któremu hołdują często zbyt namiętnie ludzie nierozsądni. Otóż, jak to wspomniałem, należy trzymać się zasady: wedle stawu grobla. Niechaj ci, których nie stać na ryzykowanie dziesiątki, a nawet piątki, nie bawią się w znawców koni i nie stawiają niepotrzebnie na tego lub owego faworyta, niechaj przypatrują się wyścigom, a grę pozostawią ludziom dla których dziesiątka jest drobnostką. Wtedy nie będziemy czytać o takich wypadkach na przykład, że ktoś pieniądze swojego pryncypała utopił w totalizatorze. Wyścigi, jako takie, nie mają zresztą z totalizatorem nic wspólnego. Czy dla hodowli koni są pożyteczne, tego nie wiem, gdyż nie jestem fachowcem, ale, że w naszych wielce prozaicznych czasach są przypomnieniem rycerskości, to nie ulega wątpliwości.

Niepowołani amatorzy totalizatora, dyskretują wyścigi, ale spytajmy się, czy jest jakakolwiek nawet najdonioślejsza sprawa, któraby nie cierpiała z powodu nierozsądnych ludzi? Czy może być coś bardziej pożytecznego dla zdrowia mieszkańców zwłaszcza wielkiego miasta nad wyjazd letnią porą na wieś? A jednak ludzie z wyjazdu dla zdrowia zrobili nowomodne włóczenie się po wilegiaturach ze szkodą dla kieszeni, a często i dla zdrowia. Zamiast jechać na wieś dla świeżego powietrza i wygody, skupiają się w całe gromady po rozmaitych uzdrowiskach i wiodą tam dalej życie wielkomiejskie, przeszkadzając tylko tym, którzy przybyli dla poratowania zdrowia, lub wypoczynku.

Obecnie stało się prawie obowiązkiem towarzyskim wyjeżdżanie na wilegiaturę i to tak dalece, że rodziny, nie mające na to funduszów, zaciągają długi, byle tylko na kilka tygodni opuścić miasto. Jadą państwo Iksowie, więc muszą jechać i państwo Ypsylonowie pod grozą utraty swojego stanowiska towarzyskiego.

A jadąc na wieś, zabierają tyle kufrów z garderobą, jakgdyby udawali się z poselstwem do jakiejś stolicy. Przecież trzeba wiejskim Magdom i Kachnom pokazać stroje spacerowe i „lawn-tenisowe“ i poranne i wieczorne i nie wiem już jakie.

Dzieje się to, powiedzmy otwarcie — za pożyczane pieniądze. Wilegiatura mija, a długi pozostają, z długów rodzą się kwasy w rodzinie —i za problematyczną przyjemność jednomiesięczną płacimy całorocznemi przykrościami.

Czy nie lepiej byłoby urządzać groblę wedle stawu? Przecież na wieś można śmiało, a nawet powinno się zabierać tylko rzeczy potrzebne, a używać świeżego powietrza można również dobrze



Jan Janicki.

w perkalikowej sukience, jak w taftowej albo batystowej z koronkami, które dwa razy tyle kosztują co „materya“. A do czego mają służyć owe kapelusze strojne, które powinny ustąpić wygodnym „pasterkom“ o szerokich kręgach? To, co na lini A — B znajdzie po klask znawców, staje się ciężarem dla nadobnych właścicielek i pośmiewiskiem słusznie zresztą — dla miejscowej ludności.

Basta! Dosyć zrzędzenia — pomówmy o czem innem. Pomówmy nieco o niedawnych zaślubinach niemieckiego i pruskiego następcy tronu z meklembburską księżniczką Cecylią. Ślub cywilny dał młodej parze minister pruskiego domu królewskiego, ślub kościelny pastor Dryander, który przemówił od ołtarza na motto, dane mu przez samego pana młodego, ks. Fryderyka. Motto owo brzmi: „Gdzie ty pójdziesz, ja podążę za tobą: gdzie ty się zatrzymasz, ja stanę obok ciebie; twój naród jest moim narodem, twój Bóg jest moim Bogiem“.

Gdyby ks. Fryderyk znał poezye Kazimierza Tetmajera, mógłby swej oblubiennicy ofiarować wspaniały jego wiersz, zaczynający się słowemi:

„A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną...“

Dla pań podajemy króciutki opis stroju ślubnego panny młodej. Biała suknia przyozdobiona była bogato różami. Powłoka z ciężkiej materyi srebrnej miała dwa dwa metry szerokości, a cztery długości. Na niej znajdowały sie kwitnące gałązki mirtu i róży, a pośrodku wieniec sztucznych róż. Nad wykonaniem powłoki pracowało 20 najzręczniejszych mistrzyń przez 5 miesięcy. Wieniec na głowie panny młodej był cienki, a składał się z gałązek mirtowych, w które wpleciono 18 sztucznych kwiatów. Wieniec z przodu otaczał dolny brzeg korony wyle zaś niknął w splotach włosów pod welonem. *k. e.*

Jan Janicki.

Teatr lwowski ma kilka młodych talentów, które stanowczo zasługują na to, aby z nimi zapoznać szerszą publiczność i zwrócić uwagę na ich wartość. Nie znaczy to, by zaraz młodego adepta pasować na skończonego artystę, ale obowiązkiem prasy jest nie pomijać młodych talentów, ale raczej podnosić i służyć wskazówkami. Operetka lwowska ma kilku młodych artystów, wyposażonych w piękny głos, a jednak na scenie widzi się ich dość rzadko w większej roli. Stąd publiczność niewiele wie o takim śpiewaku, a jednak ma może przed sobą przyszłą powagę.

Takim utalentowanym śpiewakiem jest pan Janicki, który od lat dziesięciu już jest na scenie. Przez lat sześć był tenorem teatru ruskiego pod zarządem „Ruskiej Besidy“. Tam grywał role kochanków operetkowych, a w sztukach ludowych ze śpiewami amantów dramatycznych.

Odznaczał się wtedy nie tylko bardzo pięknym głosem tenorowym, ale nadto był doskonałym tancerzem tańców ukraińskich. W roku 1900 był z ruskim teatrem w Krakowie, gdzie poznał go dyrektor Pawlikowski i zaangażował p. Janickiego do swojej przyszłej operetki. W r. 1901 jest w królewskim krajowym teatrze w Zagrzebiu, a w roku 1903 angażują go do król. teatru w Belgradzie. Po znanej katastrofie w konaku belgradzkim, teatr tamtejszy rozwiązuje operetkę, poczem p. Janicki angażuje się do Warszawy do teatru Hellera. Tu korzysta ze sposobności, ażeby u Myszugi kształcić się dalej w śpiewie, poczem w marcu b. roku przyjeżdża do Lwowa, gdzie go dyr. Pawlikowski angażuje na stałe.

Śpiewa tu mniejsze partye tenorowe, a w ostatniej i w tym sezonie najlepszej operetce „Taksator“, śpiewa główną partyę amanta i zyskuje pochlebne recenzye.

Głos tenorowy dobry jest — jak wiadomo — dobrze procentującym się kapitałem, a gdy jeszcze kto — jak p. Janicki — ma do tego doskonały słuch i dobre warunki sceniczne, temu zapowiada się piękna przyszłość.

Bez żadnego wsparcia ze strony rodziny, mecenasów lub instytucyi, sam jeden swoją pracą przebija się p. Janicki przez twarde życie i śpiewa. Może sobie wyśpiewa karyerę, zwłaszcza, że dla śpiewaka świat cały stoi otworem.

Kącik humorystyczny.

Baba wiejska: Od naszego folwarku do miasta to ze trzy mile drogi, a nie spotkałam ani żywej duszy!

— Dziedziczka: I cóż baliście się?

Baba wiejska: Ee, nie, ino tak długo nie było z kim gadać!

*

— Czegoś taki zadowolony, przecież twój dramat okropnie schlastano?!

— To tak, ale przecież świat się dowiedział o mojem istnieniu!

*

— Panno Zofio, jeżeli mi pani odmówi swej ręki, zabiję się!

– O, zrób pan to, to mi dopiero będą zazdrościć moje przyjaciółki!

*

Kat do skazanego: Jaki rodzaj śmierci wybierasz sobie: elektryczność, szubienicę, czy gilotynę?

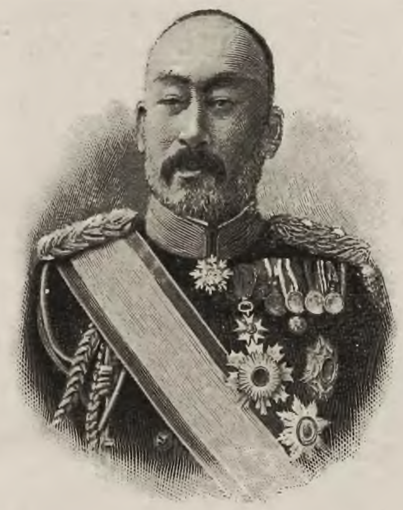
Skazany: Prosiłbym o powolne zatrucie alkoholem?

*

Żebrak: Litościwa osobo! zechciej wesprzeć biednego kalekę! zlituj się nad nieszczęściem, które mnie stale i nieubłaganie od najmłodszych lat prześladuje!...

Przechodzień: Ależ człowieku! przecież niedawno przedstawiłeś mi się jako głuchoniemy, a dziś już mówisz!

Żebrak: Niechaj to właśnie służy za dowód mej nieszczęsnej doli, która kazała mi teraz najniepotrzebniej natknąć się na litościwego pana!



Z wojny ros.-jap.: Japoński minister wojny Terautchi.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Rosya znajduje się w tem opłakanem położeniu, że nie umie ani wojny prowadzić, ani pokoju zawrzeć. Ta podwójna niemoc jest najbardziej znamienną oznaką wielkich błędów, wielkich przewinień, wielkich grzechów państwowych z szeregu lat — jest też tajemniczą karą.

Największa bitwa morska w dziejach świata stoczoną została trzy tygodnie temu na koreańskiej drodze i zakończyła się, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy, niesłychaną, sromotną klęską Rosyi. Przez nią wojna rosyjsko-japońska jest już faktycznie i nieodwołalnie na korzyść Japonii rozstrzygniętą. Nawet zwycięstwo Rosyi na lądzie nie mogłoby już tego zmienić. Jak Japonia od początku, tak teraz Rosya nie może już zadać przeciwnikowi bismarkowskiego ciosu w serce! Rozstrzyga to o wojnie. Jeżeli nie bezpośrednio, to przecież pośrednio będą to musieli wreszcie zrozumieć w Petersburgu. Dopóki jednak nie zrozumieją, dyplomacya nie może rozpocząć pośredniczącego działania. A tymczasem upieranie się wobec nieodwołalnych zdarzeń i skutków z każdym dniem pogarsza ogólne położenie.

Rosya, która dotychczas trzecie zajmowała miejsce jako morskie mocarstwo, po bitwie pod Cuszimą wykreśloną została ze spisu — flota rosyjska bowiem przestała istnieć. Na morzach Rosya w tej chwili mniej znaczy, niż Austrya i Hiszpania, zaledwie tyle, co Portugalia i Holandya. Bezprzykładny zaiste pogrom! I nie trzeba wcale być mistykiem, ażeby w nim widzieć karzący palec boży, aby powiedzieć z Bossuetem „*Deus agit!*“, aby widzieć w tem wszystkiem, niesłychanem, co się w obecnej wojnie dzieje, karę za niesłychane, długoletnie prześladowania i ciemiężenia narodu, niezawodnie nie wolnego od win i błędów, którego jednak pobudki były zawsze szlachetne, za krwawe prześladowania unitów i za Kroże. Tak jest, nie trzeba na to być mistykiem, bo jasnem jest, że na tych ohydnych robotach państwo rosyjskie zużyło nadaremnie, zmarnowało swoje siły i zaszczepiło niemi chorobę, która teraz wszystkiemi wychodzi porami. Pogrom taki, jakiego Rosya doznała pod Cuszimą, to gruntowna lekcya dla niej na długie czasy. Czy Rosya, a raczej car i wielcy książęta, skorzystają z tej lekcyi, zobaczymy.

W prasie niemieckiej i to nawet bardzo poważnej, klęska Rosyi pod Cuszimą wywołała oryginalny zwrot opinii. Mianowicie kilka pism wyraziło obawę, że carat, odepchnięty przez Japonię od Oceanu Spokojnego, rzuci się prędzej czy później z całą siłą na... zachodnią Europę! Z pomiędzy przewidywanych następstw pogromu, obawa ta jest najbardziej ciekawą. Pomówimy o niej słów kilka.

Przedewszystkiem obawa ta jest jeżeli nie zupełnie bezpodstawna, to grubo przedwczesna. Po wojnie francusko-niemieckiej w latach 1870—1871 odzywały się dość głośno przepowiednie rozmaitych wróżbitów politycznych, że pokonana Francya po upływie już kilku lat będzie szukała odwetu na Niemczech. Pamiętać przy tem należy, że co Fran-



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Hasegawa, głównodowodzący armią, maszerującą na Władywostok.



Z wojny ros.-jap.: Scena z bitwy morskiej pod Cuszimą, według rysunku jednego z korespondentów wojennych, znajdującego się na pokładzie japońskiego pancernika admiralskiego „Mikasa“.



Z wojny ros.-jap.: Pancerniki japońskie uderzające na eskadrę Rożdiestwieńskiego w cieśninie Koreańskiej koło Cuszimy.



Z wojny ros.-jap.: Marynarz japoński wzywa kolegów do zaprzestania ognia na eskadrę rosyjską Nebogatowa, gdyż okręty tej eskadry wywiesiły białą flagę na znak, że się poddają.

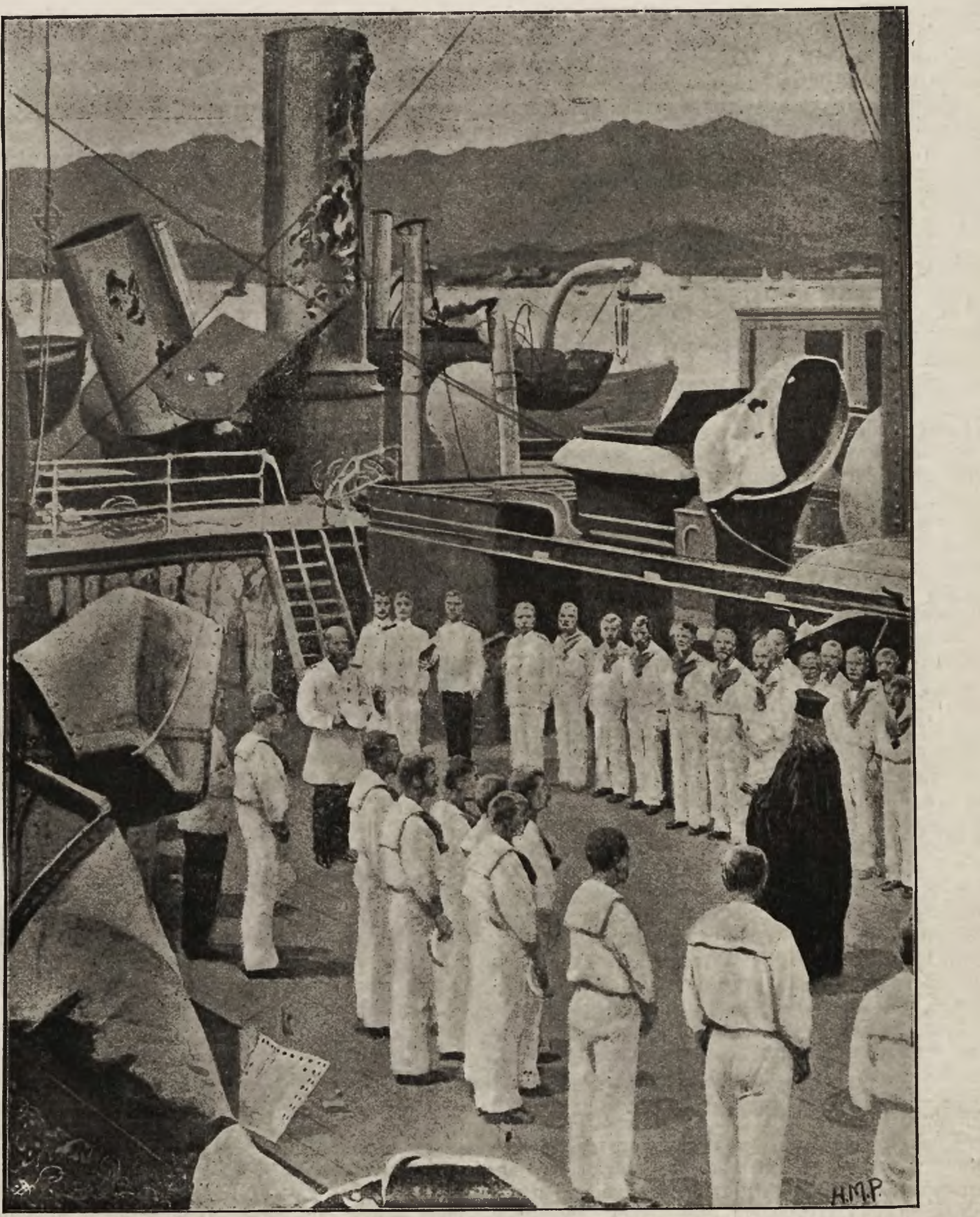
cya ze swoją wysoką oświatą, przemysłem i handlem, ze swojemi olbrzymiemi bogactwami i szeroko rozwiniętym w społeczeństwie zmysłem oszczędności, ta Francya, która w przeciągu kilku lat spłaciła Niemcom bez wielkich trudności pięciomiliardową kontrybucyę wekslami tych samych Niemców, a w dziesięć lat po wojnie nie czuła już zgoła następstw strasznej klęski, — to chyba nie Rosya, trawiona oddawna wewnętrzną gorączką rewolucyjną, anarchią u góry i u dołu, gdzie cały dotychczasowy ustrój i porządek rzeczy trzeba wpierw radykalnie odmienić, zanim to państwo będzie mogło rozpocząć normalny, spokojny tryb życia, goić rany ekonomiczne, wojną zadane i gromadzić siły do jakiejkolwiek przyszłej kampanii. Tymczasem nawet ta Francya do dziś dnia, choć już minęło 34 lata od zawarcia upokarzającego traktatu frankfurckiego nietylko nie wydała w tym czasie Niemcom wojny rewanżowej, ale przeciwnie, od szeregu lat stara się o jak najlepsze stosunki sąsiedzkie ze swym pogromcą. Rosya tedy, aby się opamiętać po tej wojnie, nietylko przez długie lata nie będzie groźną dla swych sąsiadów europejskich, ale owszem będzie się starała usilnie żyć z nimi w jak najlepszej komitywie.

Pod tym kątem widzenia klęski rosyjskie w Azyi są właściwie rękojmią pokoju w Europie.

Inna rzecz w sprawach wielkiej, światowej polityki.

W tym względzie olbrzymie sukcesy wojenne Japonii zaczynają w Europie tu i ówdzie obudzać pewien niepokój, mianowicie co do zmian, podobno już niedalekich, w konfiguracyi stosunków międzynarodowych na terenie wschodnio-azyatyckim. Niemcy zaczynają się na seryo lękać o posiadanie Kiauczau i całego swojego terytoryum w Chinach. Łudzono się do niedawna jeszcze w Berlinie nadzieją rozszerzenia tego terytoryum, na koszt Chin oczywiście, a tu tymczasem gazety japońskie piszą już teraz bez ogródki, że Niemcy będą musieli znacznie skrócić 99 letni okres dzierżawy tego portu azyatyckiego. Po zwycięskiej wojnie i zawarciu korzystnego dla się pokoju, Japonia niewątpliwie z większą jeszcze stanowczością i siłą zacznie wypraszać Niemców poza chińskie, względnie azyatyckie wrota. Nie same zresztą Niemcy mają ze wschodniej Rosyi nader ważne interesy ekonomiczne i polityczne.

Są tam mniej lub więcej zaangażowane wszystkie potencye morskie. Kiedy na początku wojny z Japonią urzędowa prasa rosyjska ogłosiła była stanowcze oświadczenie, że ewentualne zawarcie pokoju dokona się wyłącznie pomiędzy Rosyą a Japonią, bo Rosya nie ścierpi za nic w świecie, aby ktokolwiek trzeci wtrącał się do tej transakcyi,



Z wojny ros.-jap.: Załoga zabranego przez Japończyków pancernika „Orzeł“ odprawia na pokładzie ostatnie nabożeństwo przed opuszczeniem go i obsadzeniem przez Japończyków w Mozampo.



Z wojny ros.-jap.: Zabrany przez Japończyków pancernik rosyjski „Orzeł“ podczas naprawy w porcie Mozampo.

wtedy odparto z Waszyngtonu krótko i węzłowato, że dyplomacya rosyjska ani myśleć o tem nie może! Stany Zjednoczone żądają, iżby w zawarciu pokoju były czynne, a działa amerykańskie postarają się o to, żeby głos ich był usłuchany. Dzisiaj naturalnie Rosya, pobita i upokorzona, nawet z chęcią zgodziłaby się na interwencyę innych mocarstw — tem trudniejsza sprawa będzie zapewne ze zwycięską Japonią. Stany Zjednoczone motywują swe uprawnienia do współdziałania przy ewentualnym traktacie pokojowym tem, że są panami zdobytych na Hiszpanii wysp Filipińskich. Kwestya, czy Japończycy nie powiedzą wtedy: Pardon, *Azya jest dla Azyatów!*

Już ten jeden przykład wskazuje, że przyszły pokój rosyjsko-japoński wywoła szereg ciężkich i w następstwa brzemiennych problematów politycznych. Dotychczas olbrzymie „państwo środka“ Chiny, były skrytym ideałem wszystkich „strebrów“ kolonialnych w Europie. Te Chiny, stokroć bogatsze nawet od Indyj angielskich, uczyniłyby swego posiadacza Krezusem wśród ludów europejskich — a teraz bardzo poważnie na to się zanosi, że nikt inny, tylko Japonia położy na nich swą rękę. Co to znaczyć będzie, odgadnąć łatwo. Można dzisiaj jeszcze szyderczo się uśmiechać na wzmiankę o „żółtem niebezpieczeństwie“ — zaprzeczyć jednak niepodobna, że wielkie zwycięstwa Togów i Kurokich już przesunęły i do ostatka przesuną widownię wielkiej polityki światowej z Europy do Azyi.

Streściliśmy w ten sposób mniej więcej wszystkie spodziewane następstwa pogromu Rosyi w cieśninie Cuszima. Wszystkie pisma europejskie rozpisują się na ten temat i snują najróżnorodniejsze kombinacye. Wszystkie zgadzają się jednak w tem, że dla Rosyi byłoby teraz najwłaściwszem zawrzeć pokój, choćby nawet najbardziej upokarzający, ale przynajmniej pozwalający rządowi wytężyć pracę całą w kierunku reform wewnętrznych. Bo jest

faktem, że Rosya ma obecnie, albo przynajmniej w razie dalszego prowadzenia wojny z Japonią mieć będzie za kilka miesięcy dwie wojny: jedną daleko, na Wschodzie, drugą u siebie — w domu.

Fachowi marynarze zastanawiali się już po pogromie Rożdiestwieńskiego, dlaczego admirał ten obrał tak niebezpieczną drogę, jak przez cieśninę między Japonią a Koreą? dlaczego raczej nie usiłował się dostać na Ocean Spokojny, aby dotrzeć do Władywostoku?

Otóż Rożdiestwieński uznał widocznie, że przebycie tych cieśnin byłoby połączone, z powodu ich wąskości, z jeszcze większem niebezpieczeństwem, niż przepłynięcie obok wyspy Cuszimy, a może też zapasy węgla po sześciotygodniowem krążeniu na wodach chińskich nie byłyby już wystarczyły na tak daleką podróż. Zatrzymawszy się więc przez czas pewien przy wyspach Baszi, między Formozą a Luszon, zdecydował się na wyruszenie do Władywostoku drogą najkrótszą. Zdaje się, że wysłał część swej floty, a mianowicie krążowniki pomocnicze, przez cieśninę Formozę do Szanghaju, aby wprowadzić w błąd przeciwnika, sam zaś, opuściwszy kanał Baszi, okrążył Formozę ze strony wschodniej, przepłynął przez archipelag Riu-Kiu i ukazał się ze swą flotą w pobliżu wyspy Cuszima w zatoce koreańskiej.

Z obrania tej drogi nie wynika wcale, jakoby Rożdiestwieński chciał bitwy, jak twierdzą niektórzy rzeczoznawcy. Przeciwnie jego manewrowanie zdaje się wskazywać na to, iż pragnął uniknąć jej i liczył na to, że Togo na wieść o wypłynięciu jego floty na Ocean Spokojny, podąży ku północy aby zagrodzić mu drogę przez cieśninę Tsugari lub La Perouse, albo że przynajmniej rozdzieli swe siły. Do tego samego wniosku upoważnia fakt, że Rożdiestwieński, dotarłszy do wyspy Cuszima, nie zwrócił się ku zachodowi, gdzie w pobliżu Mozampo miała czekać flota japońska, lecz opłynął Cuszimę ze strony wschodniej pomimo, że przejazd ten jest ciaśniejszy i zapełniony małemi wysepkami, które mogłyby posłużyć Japończykom za punkty oparcia przy atakach torpedowych. Łatwo też zrozumieć, dlaczego Rożdiestwieński nie mógł pragnąć stoczenia walnej bitwy. Jego flota pancerna była pod względem liczebnym znacznie silniejsza od japońskiej, ale bardzo długi pobyt na morzach południowych musiał zmniejszyć bardzo siłę bojową okrętów. Ta przewaga faktyczna, którą Rożdiestwieński posiadał po oczyszczeniu swych pancerników w zatoce kamrańskiej, musiała zmaleć bardzo wskutek czterotygodniowego krążenia po morzu chińskiem, gdy tymczasem Japończycy, czekający w swoich bezpiecznych portach, nie wiele uronili ze swej zdolności do walki. Stan rzeczy był więc w ostatniej chwili taki: z jednej strony ogromna flota rosyjska, posiadająca pod względem pancerników wielką przewagę, ale skołatana długo podróżą i znajdująca się blisko wyczerpania swych sił, z drugiej znacznie mniejsza flota japońska, wypoczęta, odświeżona, przygotowana do wszelkiej akcyi, czekająca tylko na hasło, aby wypłynąć do rozstrzygającej walki.

Jeżeli Rożdiestwieński chciał przez manewrowanie w okolicach wysp Baszi zmylić czujność Japończyków i liczył na to, że spotka flotę ich rozdzieloną, lub uniknie zupełnie spotkania, to rachuby te zawiodły. Togo wybrał sobie za punkt oparcia obszerny port Mozampo przy cieśninie koreańskiej i nie ruszył się z miejsca, pozostawiając lekkim krążownikom pełnienie służby wywiadowczej. Jego podstawa operacyjna była tak obrana, że mógł stamtąd dotrzeć do każdego punktu zagrożonego wcześniej, niż flota rosyjska i oszczędzić sobie zupełnie nużącego krążenia po morzu. Jeżeli Rożdiestwieński chciał się przedostać do Władywostoku przez cieśninę Tsugari lub La Perouse, to flota japońska po stwierdzeniu tego zamiaru mogła przybyć z Mozampo do tych cieśnin wcześniej od niego. Jeżeli zaś postanowił przepłynąć przez cieśninę koreańską, to dla Japończyków było to zupełnie obojętne, czy wybierze drogę po wschodniej czy zachodniej stronie Formozy. Flota rosyjska musiała w każdym razie przepłynąć obok Cuszimy, a ponieważ wyspa ta jest bardzo długa, admirałowi Togo pozostawało zawsze dość czasu, aby z Mozampo zdążyć w porę dla powstrzymania floty nieprzyjacielskiej.

Tak się też stało.

Gdy admirał Rożdiestwieński wpłynął w cieśninę, oddzielającą wyspę Cuszimę od Japonii, Togo wyruszył z Mozampo ku wschodowi i w północnej części cieśniny przyszło do starcia, zakończonego tak niesłychanym w dziejach pogromem eskadry rosyjskiej.

Długa stosunkowo cisza na polach Mandżuryi, spowodowaną była, jak się okazało, oczekiwaniem na wynik bitwy morskiej. Marszałek Oyama nie chciał rozpoczynać kroków zaczepnych na nowo, dopóki nie miał pewności, jaki wynik mieć będą operacye morskie admirała Togo. Ostrożni i przewidujący naprzód wszelkie zajść mogące ewentualności Japończycy umniejszyli znacznie siły marszałka Oyamy, i obsadzili bardzo silnemi załogami Port Artura, Dalny i Inkou, w przypuszczeniu, że admirał Rożdiestwieński zaatakuje jeden z tych portów. Przygotowali więc wspomnianym portom doskonałą obronę, w Mandżuryi zaś wstrzymali się zupełnie na czas pewien od kroków wojennych. Charakterystyczna rzecz, że wszyscy korespondenci sygnalizowali wielką bitwę lądową jeszcze na dwa tygodnie przed bitwą morską w cieśnie koreańskiej, a żaden z nich nie wiedział i nie domyślał się nawet, co jest przyczyną zwłoki. Nie wiedziano o obsadzeniu niezmiernie silnemi załogami wymienionych wyżej miast, jak również mimo największych zabiegów ze strony Rosyi do ostatniej chwili nikt w całym świecie nie wiedział, gdzie się ukrywa admirał Togo ze swoją flotą. Chodziły o tem najrozmaitsze, po większej części same z sobą sprzeczne wieści, ale konkretnego nic nie wiedziano. Wszystko osłonięte było przez Japończyków tajemnicą. A tajemnicę tę potrafili tak długo utrzymać, aż dopięli swego, to znaczy, aż zniszczyli doszczętnie morską potęgę Rosyi.

Cudzoziemcy, przebywający na Dalekim Wschodzie, a w szczególności w Japonii, zajmują się w dobie obecnej w pierwszym rzędzie kwestyą odszkodowania wojennego. Od jej rozwiązania zależy do pewnego stopnia przyszłość Japonii, a trzeba dodać, że odszkodowanie to rozstrzygnie w równym stopniu o losie państw z Zachodu, którę na wybrzeżach Azyi mają swe posiadłości. O ważności tego problemu wiedzą japońscy mężowie stanu, jak również wiedzą i o tem, że rozwiązać go należy w jak najkrótszym czasie.

Jeżeli Japonia odniesie ostateczne zwycięstwo, a na to się przecie zanosi, to odszkodowanie wojenne, które spodziewa się za wszelką cenę wymusić na pokonanej Rosyi, ułatwi jej w pierwszym rzędzie uzupełnić materyał wojenny i powiększyć flotę swoją tak, że będzie się mogła zmierzyć z pierwszą marynarką wojenną na świecie. Posiadając tak potężną flotę, stanie się Japonia panią Dalekiego Wschodu na morzu i na lądzie. A wówczas któreż to mocarstwo jedno lub kilka nawet połączonych razem, zechce się zmierzyć z tak silnym przeciwnikiem? Już oddalenie wywrzeć tu musi wpływ decydujący i niewątpliwie wpłynie na zanik życia europejskiego tam, gdzie Japonia zatknie swe sztandary. Żywioł europejski, ograniczony w swej wolności, powstrzymywany we wszystkich swych przedsięwzięciach, nie będzie mógł absolutnie rozwijać się. Nie pozostanie mu więc nic innego, jak tylko zwrócić swą działalność gdziekolwiekbądź indziej. Wobec tego, że to odszkodowanie jest tak wysokie, Japończycy uczynią wszystko, aby je sobie zapewnić. O wczesne zawarcie pokoju Japonii zresztą wcale nie chodzi. Jest ona przygotowaną na długie lata wojny i dzisiaj już możemy powiedzieć, że nie Rosya Japonię, ale Japonia Rosyę przetrzyma. Japonia może nigdy nie położyć szranek wojnie. Wszak Japończycy to naród na wskróś rycerski, uważający wojnę za najszczytniejsze zajęcie. Dla wojny każdy Japończyk opuszcza chętnie ojca i matkę, żonę i dzieci. Życie wojenne, życie bez troski o dzień następny, odpowiada zupełnie jego naturze. Skutki tej wojny i fanatyczne wychowanie młodych pokoleń zrobi z Japończyków naród zdobywców.

KRONIKA LWOWSKA.

(Nasze wycieczki. — Do Brzuchowic! – Tramwaje. – Pasażerowie a mały Jasio. – Regulamin dla automobilów. – Jeszcze jeden. Połknięty bilet. — Czemu tramwaj śpiewa? – Przy kasie kolejowej. – Na peronie. – Nie ma konduktora. – W wagonie. – Św. Medard. – Rewizya hotelowa. — W Brzuchowicach. — Zabawa na dworcu. – Bufet. — Litość niebios. — Małe nieporozumienie – Generalizacya kłótni. – Nowi goście. – Senzacyjne uduszenie. – Powrót do domu. — Karawany spacerowe p. Kurkowskiego. – Zarządzenie kolejowe. – Odłożone sprawozdanie).

Rozpoczął się sezon wycieczek za miasto. Ażeby tym wszystkim, którym stosunki nie pozwalają na wyjazd do wód ułatwić bodaj chwilowe zwiedzenie okolicznych miejscowości klimatycznych jak Brzuchowice, Janów, Jaremcze, Zimna Woda itp. czyli ażeby im jednem słowem uprzyjemnić jeden bodaj dzień w tygodniu, obmyśliły władze kolejowe tzw. „pociągi spacerowe“, czyli po naszemu *Vergnügungszugi* z biletami powrotnymi. A więc jedziemy. Jedźmy np. do Brzuchowic, bo najbliżej i najmniej kosztuje, a więc najprzyjemniej. Na dworzec kolejowy jedziemy tramwajem elektrycznym, bo ten idzie prędzej, a więc przyjemniej. Czekamy obok kawiarni wiedeńskiej. Nadjeżdża wóz, ale przepełniony.

— Proszę siadać, jeszcze będzie miejsce – mówi p. konduktor.

— Chyba na dachu, ale tam gorąco – odpowiadam – zaczekam na drugi.

Po 10 minutach przyjemnego czekania przychodzi następny wóz, ale przepełniony.

— Proszę wsiadać – zaprasza konduktor.

— Wóz przecie nabity...

— Ale tam w środku pan się zmieści, jest jeszcze kawałek miejsca do stania.

— Jedź pan, ja czekam na następny.

Ponieważ zostawało niewiele czasu do pociągu, przeto trzecim wozem, jeszcze więcej pełnym, postanowiłem już bądź co bądź pojechać na dworzec.

Poleciwszy duszę Bogu, dostałem się szturmem do wnętrza wozu, słysząc po drodze kilka nawet niedwuznacznych wykrzykników pod moim adresem i udając, że ich nie słyszę. Wóz ruszył. W wozie gorąco. Panie siedzą, panowie stoją tocząc rozmowę na temat aktualny.

— Nie ma czem jechać na dworzec — mówi jakiś bardzo otyły pan do swego sąsiada – dorόżki nie ma, tramwaj przepełniony, chyba sprawić sobie, panie tego, automobil i rozbijać ludzi.

— I zwierzęta – dodaje drugi. Konie płoszą się i uciekają, a mimo to dostają im się porządne szturchańce. Ale że to nic nie pomogło rozporządzenie magistratu dla tych... automobilistów. Toć oni pędzą jak waryaty, a policyanci śmieją się do rozpuku.

— Proszę pana – odpowiada otyły – zeszłej niedzieli dwóch sportowców popisywało się na trycyklu benzynowym na placu powystawowym, gdzie setki spacerowiczów przechadza się, to musiałem przed nimi tak uciekać, że ja sam po drodze przewróciłem preclarza, jakąś niańkę z dzieckiem i dwóch studentów. A co tam oni kurzu robią, to pożal się Boże.

— A co magistrat?

— Zdrów, dziękuję.

— Ale czy temu nie stara się zaradzić?

— Proszę pana, jak ludzie nie mają kpić z jego zarządzeń, kiedy on sam z nich kpi...

W tej chwili stanął wóz.

— Proszę pana — woła z ulicy jeszcze grubszy od poprzedniego jegomość — czy znajdzie się tam dla mnie kawałeczek (!) miejsca...

— No servus:—woła oburzony grubas Nr. I.— jeszcze tego tu potrzeba!

Konduktor go zaprosił — wszedł, a raczej wcisnął się, szerząc na wszystkie strony popłoch. Panowie ustępowali i wciskali się wgłąb, panie tuliły do siebie swoje dzieci, tramwaj na skręcie obok poczty jęknął rozpaczliwie, a po tym początku wył już przez jakiś czas i piszczał i ryczał...

— Jezus, Marya! — zawołała blada pani, chwytając się za głowę.

— Jazda z muzyką! — zażartował gruby pan Nr. I.

— Tramwaj piszczy z gorąca — dodał gruby Nr. 2.

Gorąco w tramwaju dochodzi do zenitu. Przychodzi kontrolor tramwajowy. Witamy go z przyjemnością, łatwą do zrozumienia.

— Jeszcze tylko pana brakowało — woła grubas Nr. 2.

— Służba panie, to mus — proszę o bilet.

Wszyscy oddają bilety. Jedna z pań szuka gorączkowo.

— Gdzie bilety Jasiu, dałam ci, chciałeś je trzymać.

— Zjadłem, mamusiu — woła z uśmiechem mały berbeć.

— Zjadł synek, proszę pana, czy mam kupić inne?

Kontrolor robi urzędową minę i „rewiduje“ dalej. Poszedł.

— A, operetka jedzie do Krakowa – mówi chudy pan do grubego.

— Tak jest, a dramat do Kijowa; we Lwowie będą nudy okropne, odpowiada gruby Nr. 1.

— Niby pan chodzi do teatru, jeszczem tam pana nie widział.

— No tak, ale się czasem afisz przeczyta, czasem panie recenzyę tego – owego, a teraz panie cała sztuka kaput.

— Mamusiu — woła mały Jasio — ciemu ten tlamwaj tak ladnie śpiewa?

Mamusia zgrzyta ząbkami.

— Bo pełny – odpowiada niepytany gruby Nr. 2.

— A pan takzie pelny — mówi Jasio — a ciemu pan nie śpiewa?

W tramwaju śmiech. Jasio dostaje od mamy klapsa.

Nareszcie jesteśmy na dworcu.

Przy kasie kolejowej mały ścisk. Jakaś pani zemdlała, jakiś pan chciał zobaczyć która godzina, ale na cudzym zegarku, więc go złapano i oddano policyi, jakaś panienka zgubiła portmonetkę, narobiła dużo krzyku i znalazła ją później w innej kieszeni. Zdobywszy przy wielkim wysiłku energii bilet, walę na peron. Sodoma-Gomora!

„Vergnügungszug" tak przepełniony, że się przelewa... Wszyscy wołają konduktora, ale go nie widać. Schował się z obawy przed zlynchowaniem. Każdy pakuje się gdzie może. Lecz w drzwiach wagonów stoją już pasażerowie z uprzejmą uwagą: O, proszę pana, tu już nie można, tu już przepełnione...

Tak samo w drugim, trzecim, dziesiątym. Znowu potrzeba energii, przy której pomocy dostałem się do wagonu. Siedziało tam zaledwie dwudziestu pasażerów, a więc jeszcze bardzo przyjemny wagon, jak na koleje galicyjskie.

W wagonie znalazłem małego Jasia z mamusią i grubym Nr. 2, z czego byłem bardzo zadowolony. Reszty towarzystwa ku mojemu ubolewaniu w wagonie nie zastałem. Może ich gdzie udusili, może ukradli, może przejechali, może zostawili na peronie, bo *„Vergnügungszug"* właśnie ruszył... Jak to się p r z y j e m n i e jedzie. Gruby pan sapie i fuka, Jasio mówi aforyzmy, jakiś ojciec chłodzi wachlarzem swoje trzy córki, zawadzając o nosek najstarszej, jakiś właściciel hotelu narzeka na ministeryum.

— Proszę pana — mówi do sąsiada — czy to nie jest skończona sekatura urzadzać jakieś rewizye hotelów — ta niby co tam jest do rewidowania, hotel to hotel, łóżko to łóżko, a kanapa to kanapa.

— Niech się pan nie obawia — uspakaja go sąsiad, magistrat nic panu nie zrobi, bo ma do czynienia z wyborami ściślejszemi, które się jeszcze pociągną kilka miesięcy, jeżeli nie pół roku.

— To prawda, że wybory się nie skończą tak prędko, a Michalski będzie prezydował niby z musu jeszcze rok.

— Powiedział, że i chce i nie chce być prezydentem, czyli, że jeszcze nie wie...

— To znaczy, że nie wie, czy jego zechcą, dla tego nie może mówić, czy on chce.

— Bądź co bądź ma niezły apetyt.

— To już gorszy apetyt miał ten biedny kapitan, który tak marną sumkę zdefraudował.

— Nieszczęśliwy człowiek, wszystko spowodowała kobieta, jak zawsze.

Wchodzi konduktor. Mały Jasio zabiera głos:

— My juś oddali nasie karty w tlamwaju...

— Panie konduktorze, my się tu podusimy — woła jakiś pasażer.

— To już niedaleko Brzuchowice — odpowiada z flegmą konduktor.

Poprzedni ciągną dalej:

— A św. Medard narazie popisuje się dobrze, codziennie chmury, tylko że deszczu nie widać.

— Winni są temu Lwowianie, którzy ciągle na kurz narzekali.

— A wyprosił to magistrat, aby nie potrzeba było skrapiać ulic.

Właściciel hotelu zabrał znów głos:

— Proszę panów, co to za nowe towarzystwo ku popieraniu ruchu przejezdnych i obcych we Lwowie?

— Ano widzi pan — odparł gruby pan — to na to, ażeby każdy obcy, kto przyjedzie do Lwowa mógł oglądnąć piękniejsze gmachy jak np. ratusz, dyrekcyę skarbową, celniejsze ulice: jak Serbska, Smocza, Zbożowa, Wesoła, zabytki jak pokaleczona i do szpitala się prosząca fontanna z parku stryjskiego — to wszystko i mnóstwo innych rzeczy warto widzieć, a obcym trzeba dopiero zwrócić na to uwagę... uf!...

— Panu dobrodziejowi ciepło...

— Nawet gorąco, panie.

— Prosę pana siadać — wtrącił się mały Jasio — bo pan psewróci kolej do góry nogami.

Za tę słuszną uwagę dostał od mamusi klapsa całkiem niesłusznie.

Jesteśmy w Brzuchowicach. Wszystko wymięte, zmordowane, spocone. Nieba zlitowały się nad biednymi wycieczkowcami. Lunął deszcz tak „siarczysty", że o wyjściu poza dworzec nawet mowy nie było. Dusi się wiec wszystko na dworcu, gdzie można wcale przyjemnie spędzić kilku godzin, bo i piwo „pod psem" i miejsca nie ma, i potrawy kiepskie, ale za to przynajmniej drogie, jednem słowem jak na wycieczce do Brzuchowic. Ale na małym dworcu gwarno. Ścisk przyjemny, taki swojski, galicyjski. Ludzie rozpychają się łokciami, zapychają się za bufet, napychają się kwarglami, lwowskim piwem, jajami etc. Obywatele i obywatelki lwowskie są na wycieczce. Dzieci w ścisku piszczą. Panienki trochę sinieją z zimna, faceci „muszą" przeciskać się tam i napowrót kilka razy szukając czegoś, ale jeszcze nie wiedząc co to ma być... Jednem słowem: wycieczka w niedzielę do Brzuchowic. Powstaje mała kłótnia, obywatele posyłają sobie przez powietrze pełne „halby", trafiając przypadkowo niewinnych sąsiadów. Stąd kłótnia powiększa się, a potem się generalizuje. Kłóci się cały dworzec. Panie płaczą. Są już trzy pojedynki i kilka procesów o obrazę czci przez czynne znieważenie czy coś podobnego. Z lasu wracają zbłąkani a przemoknięci spacerowicze, a cisnąc się do bufetu, plamią się jasne sukienki pań, wywołując ostre uwagi. Ale im zbyt mokro, aby mieli zważać na suche słowa. Jakieś dziecko połknęło pół rogalka i „chce się udusić". Przypadkowo obecny lekarz ratuje sytuacyę i życie przyszłego obywatela, za co go spotyka „grad" podziękowań.

Tak „bawimy" się kilka godzin, poczem wracamy kontenci do Lwowa. W powrocie ścisk jeszcze większy, bo jadą i ci, którzy do Brzuchowic przyszli piechotą lub przyjechali karawanem spacerowym pana Kurkowskiego.

A dyrekcya kolejowa, która w dziennikach nie znalazła żadnej wzmianki o uduszeniu lub potratowaniu pasażerów, wydaje potem polecenie urzędowi ruchu, ażeby odtąd pociągi spacerowe skrócono o trzy wagony, bo jeśli się publiczność nie skarży, to zapewne jest tych wagonów za wiele.

Szczegółowe sprawozdanie o oficyalnej wizycie szacha perskiego we Lwowie z powodu braku miejsca odkładam do następnego fejletonu. *Klewe*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

6 (Ciąg dalszy).

Pominąwszy już, że te zeznania same dla siebie były wierzytelne, zgadzały się one w zupełności z zeznaniami Heleny i mister Parkera. Nie pozostawało więc żadnej wątpliwości, że Rudolf Springer padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

A Stefan Klaus — tak nazywał się właściciel gospody — oświadczył przytem, że jego żona każdej chwili może to wszystko potwierdzić, co on opowiedział. Policya jednak nie uważała to bynajmniej za konieczne, zwłaszcza, że na podstawie zebranych faktów przyszła do przekonania, że o zbrodniczym jakimś zamachu na Rudolfa Springera mowy być nawet nie może. Zastanowiono więc dalsze śledztwo i uwiadomiono o tem córkę i brata zmarłego, pozwalając równocześnie na natychmiastowe przeniesienie zwłok z kostnicy na miejsce ich wiecznego spoczynku.

Franciszek Springer gwałtem chciał urządzić bratu wspaniały pogrzeb i wznieść wielki pomnik na grobie nieszczęśliwego, który tak niespodzianą i straszną śmiercią skończył w tym samym dniu, w którym po tylu latach powitał swoją ojczyznę. Ale Helena prosiła go, aby odstąpił od tego zamiaru, który nie zgadzał się wcale z charakterem i zapatrywaniami jej ojca, a przytem byłby śmieszny, choćby dlatego, że w całem mieście nikt nie znał ofiary nieszczęśliwego wypadku. Stryj Franciszek zrazu opierał się temu, ale wkrótce dał się przekonać i — zamówił więcej niż skromny pogrzeb na odległym od miasta małym przedmiejskim cmentarzyku!...

Kochani krewni.

Mister Parker ku wielkiemu swemu zmartwieniu nie mógł wziąć udziału w pogrzebie, bo ważne interesy, nie cierpiące najkrótszej zwłoki, zawezwały go do Londynu. Przysłał jednak Helenie list, sztywny list sztywnego Anglika, wypisany potwornymi kulasami, w którym wyraził jej raz jeszcze swoje współczucie i prócz tego przysłał wspaniały wieniec na trumnę jej ojca.

Zdawało się, że niebo płacze nad przedwczesnym zgonem zacnego starca! Wśród potoków deszczu Rudolf Springer, na trzeci dzień po swojem przybyciu do ojczystej ziemi, został pogrzebany, a do grobu odprowadzało go tylko dwoje osób: brat i córka!...

Helena po smutnej, nieprzespanej nocy, wstała bardzo wcześnie i już ukończyła swoją toaletę, a gdy stryj przysłał zapytać się, kiedy może się z nią zobaczyć, odpowiedziała, że już w tej chwili jest do jego dyspozycyi. Wkrótce też pan stryj zjawił się w jej pokoju i wprost aż dziwnem było, jak mógł w tak krótkim czasie uspokoić się. W jego twarzy i w jego postaci nie było nawet śladu tego wzruszenia i tej boleści, którą ubiegłego dnia produkował z takiem powodzeniem. Jego pucułowate policzki promieniały znów zdrowiem i niczem niezachwianą wesołością, farbowane włosy były ufryzowane z równą starannością co przedtem, a jego ruchy odznaczały się znów tą samą sztuczną młodością, jak wówczas, gdy po raz pierwszy stanął przed Heleną, co przy otyłej, krągłej jego postaci robiło śmieszne, ale i przykre wrażenie. W kilku, i to całkiem obojętnych słowach, wspomniał o śmierci brata, jako o rzeczy dawno już minionej i w tej chwili przeskoczył na inny temat.

— Zapewne, moje dziecię, twój ojciec nieraz musiał ci wspominać, jak serdeczna miłość łączyła nas przed jego wyjazdem do Ameryki i że nawet oddalenie nie porobiło w niej szczerb żadnych. Z pewnością chyba nie przemilczał o tych dobrodziejstwach, jakie mu, nawet z własną szkodą, wyświadczałem!...

I to mówiąc, patrzył bystro w oczy Heleny, pewny, że tak śmiałe twierdzenie spotka się z potakiwaniem z jej strony. Ale młode dziewczę, nieprzyzwyczajone do europejskich konwenansów i przekonane, że bądź co bądź mówić prawdę należy, bez wahania odpowiedziała, iż ojciec nigdy prawie nie wspominał jej o młodości swej spędzonej w ojczyźnie, a o bracie czasami tylko robił nic nieznaczące uwagi.

— Tak! tak! to już było takie jego przyzwyczajenie! — odparł stryjaszek, nie dając się zbić z tropu młodem dziewczęciu. — Poczciwy Rudolf nigdy chętnie nie wspominał o wyświadczonych mu dobrodziejstwach, a ostatecznie miał też pewne powody, aby pokryć milczeniem to, co zaszło w ojczyźnie przed jego wyjazdem!...

Gniewne, pełne oburzenia spojrzenie młodej dziewczyny zmusiło go na chwilę do milczenia i do ukrycia swego pomieszania w głębokiem westchnieniu.

— No, no! ja przez to nie chcę nic złego powiedzieć! — ciągnął dalej po krótkiej pauzie — nie myślę twierdzić, że popełnił coś karygodnego i jestem daleki od tego, aby oskarżać go o jakieś głupstwa popełnione w młodości! Ale mam nadzieję, droga Helu, że będziesz mnie darzyć podwójnem zaufaniem, skoro się dowiesz, co ja dla twego ojca uczyniłem!...

— Być może, ale w każdym razie proszę cię stryju, żebyś mi przynajmniej teraz nic o tem nie wspominał. Chcę wierzyć, że wszystko tak jest, jak ty opowiadasz, choć to nigdy nie leżało w charakterze mego ojca, aby zapominał o tem, gdy mu ktoś wyświadczył coś dobrego. A przytem, to co słyszałam od niego jeszcze tego samego dnia, w którym umarł, pozwalałoby mi przypuszczać, że rzecz ma się całkiem odwrotnie!

Pan Springer parsknął krótkim urywanym śmiechem.

— Hm! zdaje mi się jednak, moja Helu, że to, co ci ojciec mówił, powinnaś tylko uważać za prosty żart z jego strony! Jeśli ci bowiem coś wspominał o bogactwach, które ja miałem dlań, czy też dla ciebie przechowywać, to mylił się grubo i jeśli prócz tej problematycznej wzmianki nic innego ci nie pozostawił, to nie masz nawet powodu cieszyć się ze spadku! Ale to wszystko niema nic wspólnego z tem, o czem ja chciałem pomówić z tobą, moja droga dziecino! Na rozmowę o sprawach pieniężnych mamy jeszcze dość czasu, zwłaszcza, że rachunki moje z bratem są w zupełnym porządku. Teraz chodzi mi o rzecz ważniejszą. Nie wątpię, że zechcesz mnie uznać za swego opiekuna i uważać mój dom za swój własny, a zwłaszcza, znajdziesz w nim nietylko kochające serce ojca i matki, ale także i rodzeństwo, które cię przyjmie jak siostrę, nieznaną jeszcze wprawdzie, ale mimo to nie mniej ukochaną. Krótko mówiąc, pozwolisz, że jeszcze dziś opuścimy Hamburg i że zawiozą cię do naszego domu!... C. d. n.

BERTHOLD SCHIDLOF.

WŁAMYWACZ.

Szkic do powieści.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

— No! wiecie co! taki skandal zrobić familii! To przecież coś strasznego! Taki miły, przyjemny, pełen nadziei młodzieniec, jak Ralf, nagle, ni stąd ni zowąd, został włamywaczem! A co najgorsze, to chyba tylko to, że złapali go na gorącym uczynku!

Te słowa, które usłyszałem z ust przyjaciela mojego i jednego z najlepszych kolegów Ralfa, wstrząsnęły mną do głębi.

Ralf włamywaczem?

Sama myśl o tem zdawała mi się być prostem szaleństwem!

Ralf, ten Ralf, który swoją drogą był lekkomyślny, który nie dla siebie, lecz dla drugich gotówby był stracić wszystko, co miał, ale który był przytem honorowym, tak honorowym, że my wszyscy uważaliśmy go w tym kierunku za wyrocznię! I on miał być nocnym włamywaczem?

— Po co? na co?!... — pytałem się w myśli — i dalibóg nie znajdowałem na to żadnej odpowiedzi.

Poprostu nie chciałem w to nawet wcale wierzyć.

Czy miałem racyę? Zdawało mi się, że ją mam.

Znałem tego człowieka od szeregu lat, żyłem z nim w ścisłej, serdecznej przyjaźni i przez cały ten czas nigdy nie zauważyłem, aby był zdolnym popełnić jakiś czyn, nietylko niehonorowy, ale nawet taki, który świat zowie czynem niebardzo *correct;* ba! co więcej, nieraz był nawet wprost śmiesznie skrupulatnym.

Całe jego życie nigdy i w niczem nie było dla mnie tajemnicą. Przeciwnie, mogłem je uważać za książkę, z której kartka za kartką wyczytałem wszystko jaknajdokładniej, a jedynym jego błędem, jeśli naturalnie młodemu człowiekowi, o żywym i ognistym temperamencie, za błąd to poczytać można, była szalona miłość, jaka gorzała w jego sercu ku czarującej śpiewaczce operetkowej, Connie Calciunio.

Connie uczucia te młodego i nad wyraz przystojnego inżyniera odpłacała wzajemnością i świat, który zwykle najchętniej interesuje się bliźnimi, wiedział o tem i szeptał nawet o tem, a jednak Ralf nigdy nie przyznawał się do tego, aby Connie wyróżniała go z pośród innych swych wielbicieli, owszem, gdy nawet ktoś z jego dalszych przyjaciół zrobił wzmiankę na ten temat, oburzał się i nigdy nie pozwolił zniesławić lub cieniem podejrzenia obarczyć nazwisko swej kochanki.

To chyba dostatecznie malowało jego nieskazitelny charakter, to stanowiło główny rys jego pięknej, czystej duszy.

Inny chełpiłby się pewnie taką zdobyczą, jak Connie, inny sławiłby się tem, aby na salonach towarzystwa uchodzić za lwa zwycięzcę.

On zaś przeciwnie. Za obowiązek swój w pierwszej linii uważał ochraniać kochankę przed plotkami i — głupią obmową.

Ralf i ja powróciliśmy właśnie z Meksyku, gdzie obaj budowaliśmy mosty, a — w wolnych i niewolnych od zajęcia chwilach, musieliśmy borykać się z febrą, która nas, nieprzyzwyczajonych do tamtejszego klimatu, bez przestanku trapiła. Gdyśmy już wracali do Nowego Jorku, prywatne moje interesy zatrzymały mnie na kilka dni we Waszyngtonie i Ralf sam pospieszył dalej.

Dopiero kilka dni upłynęło od tej chwili, gdy siedząc razem w przedziale pierwszej klasy błyskawicznego pociągu, snuliśmy na przyszłość jak najśmielsze sny, najczarowniejsze marzenia, aż tu, gdy przybyłem do Nowego Jorku na samym wstępie taki niespodziany cios ugodził we mnie.

Wiedziałem wprawdzie, że z kasą Ralfa było krucho, że w ostatnich dwóch miesiącach musiał się liczyć z groszem i żyć dość oszczędnie, póty przynajmniej, póki nie wykończy i nie odda swych robót, ale, żeby go to miało sprowadzić na złą drogę, żeby skutkiem tego miał zostać prostym włamywaczem, zwykłym złodziejem, nigdy — nigdy nie przypuszczałem.

A jednak wszyscy o tem mówili; wszystkie dzienniki o tem tylko pisały.

Ralf został przyłapany o północy w domu znanego milionera, mistra Vicersby i to właśnie w tej chwili, gdy starał się otworzyć drzwi do sypialni jego żony.

Dlaczego właśnie dobierał się do sypialni żony milionera, to dla każdego było nazbyt jasnem.

Pani Vicersby posiadała klejnoty szalonej wartości, a oprócz tego w podręcznej kasie znaczną gotówkę. Wiedzieli o tem wszyscy, wiedzieć więc musiał, lub się dowiedzieć i Ralf. Że zaś kasa podręczna stała w sypialnym pokoju milionerki, więc tam skierował swe kroki.

A przytem opowiadano, że gdyby nie pokojówka, która go przypadkowo odkryła i narobiła hałasu, z pewnością byłby dokonał swego zamiaru i cudne klejnoty pani Vicersby stałyby się jego łupem.

Co miałem czynić?!..

Ralf powinien był się sam bronić, powinien był sobie wziąć jednego z najlepszych adwokatów i ratować się choćby kłamstwem, choćby jakąś zmyśloną romantyczną historyą...

Tak, ale dobry adwokat dużo kosztuje, a ja, choćbym z duszy i serca cały majątek mój oddał na usługi Ralfa, nie wiele mogłem mu pomódz, bo sam byłem w dość opłakanych stosunkach.

I wówczas przyszło mi na myśl, że Connie Calciuno w takiej potrzebie powinnaby pospieszyć swemu przyjacielowi z pomocą. Mogła zastawić swoje klejnoty, które posiadały bajeczną wartość i wziąć dla Ralfa najgłośniejszego adwokata.

Powinna była nawet, zdaniem mojem, to uczynić, bo przecież nie było to ofiary finansowej, którejby Ralf nie byłby poniósł dla niej.

Tak! Ale gdzież ja miałem szukać pięknej Connie?

Gdy byłem we Waszyngtonie, opowiadano mi, że ta operetkowa czarodziejka, to bóstwo nietylko szerokich warstw publiczności, ale nawet milionerów i miliarderów, poszła za mąż i opuściła scenę raz na zawsze.

Wobec tego, gdybym był nawet zdołał ją znaleść, nie mogłem się spodziewać, aby pospieszyła Ralfowi z pomocą. Powstrzymywałby ją od tego, zacnego zresztą kroku, wzgląd na męża, na jego rodzinę, a raczej, jeśli mamy mówić otwarcie, wzgląd na plotki, któreby z tego powodu powstały.

Niepewny, co mam robić i jaką obrać drogę, aby przyjacielowi memu ulżyć w niedoli, chwiejnym krokiem podążyłem do dawnego pomieszkania Ralfa i po długich pertraktacyach, po strasznych ceregielach udało mi się wreszcie od gospodyni wydostać klucz do jego pokojów.

Stare babsko było wściekłe na swego lokatora, o którym niegdyś wyrażała się jaknajlepiej i teraz zrzędziła na mnie, wylewając cały jad swej złości.

— Co to za wstyd dla mnie mieć za lokatora takiego ordynarnego złodzieja — mruczała z oburzeniem — nie mówiłabym nic, gdyby był przynajmniej zdefraudował, bo to się i najporządniejszym ludziom trafia, ale zakradać się z wytrychem do pomieszkania obcego, to wstyd, to skandal, to bezbożność...

Nie słuchałem dalej tej perory, wygłaszanej z zawziętością kobiety, która dlatego tylko okłada językiem byłego lokatora, bo straciła w nim dobry zarobek, lecz czemprędzej pospieszyłem do pomieszkania Ralfa, myśląc, że przynajmniej tu znajdę jakiś ślad tej strasznej dla mnie zagadki.

Ze smutkiem w duszy spoglądałem na opustoszałe pokoje, na skromne, choć gustowne mebelki i w końcu podszedłem do biurka Ralfa, na którem stała olbrzymia fotografia cudnej Connie Calciuno.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

I.

Pierwsza-druga, młoda:
Godna słów podziwu;
Chwalić ją nie szkoda,
Kiedy jest szczęśliwą.

Drugie-czwarte, żyją,
Tam gdzie woda płynie...
Pierwsze-czwarte, kryją:
Rzeczy w magazynie.

Trzeci wspak... nie ganię,
Bo nas wspomódz może,..
Całość noszą panie:
Zwykle w letniej porze.

II.

Pierwsze wprost — i *wspak trzecie*
Zna z wymowy... nawet dziecię.
Drugą-czwartą, złowić wędką:
Można czasem, lecz — nie prędko..
Całość, jest typem kobicty,
Ale, przewrotnej, niestety!

III.

Pierwsze, litera w greckim alfabecie,
Drugie, zaś liczba, którą gdy znajdziecie
To Czytelnicy życzymy Wam szczerze,
Niech ich najwięcej w życiu każdy zbierze
Trzecie, odwrotnie, imię bohatera
Którego sława w każdy kąt dociera
Co zwrogiem walczył za szwajcarską ziemię,
I na niej także snem wieczystym drzemie.
Pierwsze i *trzecie* szczyt w Alpach wysoki
Rzadko turysta zapuszcza tam kroki
Trzecie i *drugie* słowo w przyszłym czasie
Odgadnie, kto na granatyce zna się
Całość oznacza morderczę narzędzie,
(Którego jutro używanie będzie!)
Z którego nieraz smutny koniec będzie.

Arytmogryf.

ułożył W. K.

			6	28	12	7			
		12	24	26	20	26	29		
24	30	4	30	8	25	15	12	28	7
		18	1	28	7	26			
				18	1				
				26	29	17			
		25	28	12	7	4	12	7	
				3	20				
		30	1	28	24	30	7		
	3	15	12	30	14	12	7		
			3	20	10	1			
		14	20	3	12	7	26	1	
					12				
		6	30	12	7	4	12	8	

Aby dobrze to wypadło,
Złóżcie najpierw abecadło,
Które wszystkie liczby mieści
Od jednego — do trzydzieści.
Gdy się z tem już uporacie,
Łatwo słowa odczytacie;
Dadzą one dwuwiersz gładki,
Co jest treścią tej zagadki.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy M. Zycha **„Echa leśne"**.

Rozwiązania z Nru 23.

Rebus: Pieniądze w ręku głupiego, jak śnieg na słońcu stopnieją.

Logogryf: Orzeszkowa — Nad Niemnem.

Szarady: Krajcar — Malwina — Nagrody.

Arytmogryf: Sonety krymskie.

Logogryf: Ludwik Kondratowicz — Staropolskie roraty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: H. Banke, M. Walter Szypowce, Józef Wieczerzyk, St. Szwabowicz Żurawno, Z. Gócka Rożniatów, M. Arbesbauer Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, St. Czaprański Wojniłów, P. Piasecki Rzepińce ad Buczacz, M. Fiedlerówna Rozwadów, K. Fuchs Peczeniżyn, Fr. Josefert Kraków, H. Mokrzycka Turbia, M. Cetera Dubiecko, K. Chodkiewicz Zbydniów, T. Domain Sanok, J. Badura Rożdzień Górny Śląsk, Z. Nowak Lwów, St. Bassara Niwiska, J. Haberman Mikulińce, Remiszewski Załawie, W. Hałdziński Lichwin, Stadnik Grabiny, St. Łaszkiewicz Słotwina, Dr. Dolnicki Stryj, M. Rożański Nowy Sącz, W. Kamiański Sokal.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Jan Badura w Rożdzieniu na Górnym Śląsku. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Przy kołysce.

— A to rak zatracony! wrzescy i wrzescy... Nie mógłbyś to, Bartek, trochę pokołysać! Toć-ze to i twoje dziecko!

— Aha! to ty se swoją połowę kołys, a moja niech ta wrzescy!

*

Mąż: Czyś ty nie słyszała grzmotów i burzy dziś po obiedzie?

Żona: Nie! Ja byłam na posiedzeniu feministek!

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1

poleca następujące wyroby własne:

Petrogen „Jahra“ wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron 2 i 4.

„Jahra“ Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.

„Jahra“ Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.

„Jahra“ Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem

za pomocą gorącego powietrza

odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości

po cenach bardzo przystępnych.

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy

codzień świeżo

paloną kawę 2—14

= **opłatnie.** =

Pierwsza Krakowska

elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Oryginalne



Należy uważać na markę fabryczną

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone)

otrzymały

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix“

Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ul. Jagiellońska. Chrzanów: Mickiewicza.

4

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“

KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28

poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBI'E.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest VII. Ovodagasse 22.

„FLORA”

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH I SZKOŁA KROJU.

KRAKOW, PODWALE 13.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny

sznelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać = **po złr. 2·50** = Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GODING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Do nabycia we wszystkich większych handlach

PARVEOL



Marka ustawowo chroniona.

Tylko tą marką zaopatrzone paczki są prawdziwe.

NAJCZYSTSZE

GWARANTOWANE

MASŁO ROŚLINNE

zastępuje najzupełniej masło naturalne.

Niezbędne w każdej kuchni do gotowania, smażenia i pieczenia. 167

Z FABRYKI JON. SINGERA w BIELSKU (Szląsk austr.)

Jen. zastępca dla Galicyi i Bukowiny: Szymon Loria, Kraków, Sebastyana 20.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Filia w Krynicy pod białą różą.



Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po **złr. 7·50.** Oraz na składzie wielki wybór **Guniek zakopiańskich** damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziecięce.

Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. – Wszystko wyrobu własnego.



Filia w Krynicy pod białą różą.

Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45

nad Apteką pod „Białym orłem“.

ZAŁOŻONA W R. 1863

PIERWSZA KRAJOWA PAROWA **FARBIARNIA i PRALNIA CHEMICZNA**

J. LANGIERISKA

(PRZEDTEM MIEDING)

we LWOWIE

czyści chemicznie apretuje i farbuje

wszelkie materye jedwabne i wełniane, [illegible] i [illegible] ubiory męskie, suknie damskie i dziecinne, mundury oraz futra, pióra strusie itp.

KANTORY PRZYJĘCIA:

LWÓW ul. Jagiellońska 20
„ Akademicka 26
KRAKÓW plac WW. Świętych 8
STANISŁAWÓW Sobieskiego 13

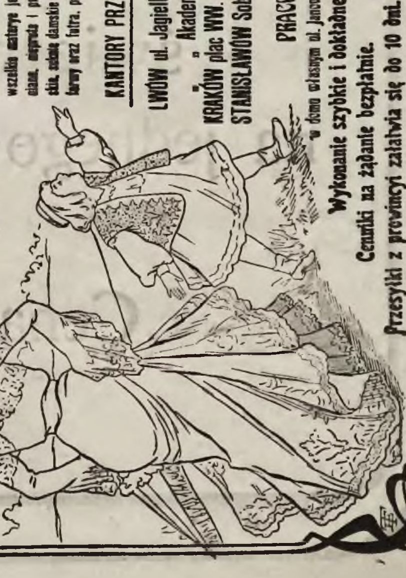
PRACOWNIA

w domu własnym ul. Janowska L. 38 a.

Wykonanie szybkie i dokładne.

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

Przesyłki z prowincyi załatwia się do 10 dni.



Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.